N·51. 19.XII.1925.

TYGODNIK ILLUSTROWANY



ZESZYT GWIAZDKOWY

Cena zł. 2.50



Nasiona

Warzywne kwiatowe i pastewne

Narzędzia

i przyrządy ogrodnicze

Sklep detalicz.

Sienkiewicza 11
telefon 9-28

Zakłady Ogrodnicze

katalogi cenniki i oferty na żądanie

C. WRÓBL

Centrala Ceglana 11 tel: 9-25, 209-25

Drzewka

i krzewy owocowe i ozdobne

Roślliny

szklarniowe i kwiaty cięte

Sklep kwiatów

Wierzbowa = 3
telefon: 9-27

Założ. 1805 r. w Warszawie

katalogi cenniki i oferty na żądanie



S. HISZPAŃSKI
KRAK. PRZEDMIEŚCIE 7. ZAŁ. W 1838 R.

DOBRE OBUWIE TYLKO Z WŁASNEJ PRACOWNI

Gwiazdkowe podarki

PRZEZ WSZYSTKICH MILE WIDZIANE

TO:

MARMELADKI

PIERNIKI

CZEKOLADKI



Bracia Jłowieccy

NOWY ŚWIAT 41 KRÓLEWSKA 27

NOWY ŚWIAT Nr 63 (pod „Perskim Okiem")

ROZPOCZYNAJĄC W ROKU 1926-ym 67 ROK SWEGO ISTNIENIA

TYGODNIK ILLUSTROWANY

DĄŻYĆ BĘDZIE STALE DO PODNIESIENIA
LITERACKIEGO I ARTYSTYCZNEGO POZIOMU PISMA



W każdym numerze Tygodnika Illustrowanego czytelnik znajdzie około 50 ilustracyj z rozmaitych dziedzin sztuki i życia, około 3000 wierszy tekstu czerpanego z bogatych źródeł polskiej nauki, literatury i sztuki, pióra najwybitniejszych pisarzy.

Nadto Tygodnik Illustrowany rozpocznie druk nowej powieści znakomitej autorki „Hrabiego Emila"

ZOFJI NAŁKOWSKIEJ

p. t. CHOUCAS

Akcja tej powieści toczy się na wysokościach gór Szwajcarskich, w kontraście śniegowych szczytów i szmaragdowych dolin, bohaterami zaś są reprezentanci różnych państw i narodów. Interesujący przebieg wypadków oraz wysoce artystyczne ujęcie stawiają tę powieść w rzędzie najwybitniejszych utworów polskich doby obecnej.

Niezależnie od tego Tygodnik Illustrowany w dziale beletrystyki zamieści dłuższą nowelę

ANDRZEJA STRUGA

p. t. KLUCZ PRZEPAŚCI

oraz szereg utworów Piotra Choynowskiego, Juljusza Kadena-Bandrowskiego, Zdzisława Kleszczyńskiego, Kornela Makuszyńskiego i innych.

W dalszym ciągu prenumeratorzy Tygodnika Illustrowanego otrzymywać będą
JAKO MIESIĘCZNY DODATEK BEZPŁATNY

PISMA BOLESŁAWA PRUSA

Jak również bogato ilustrowany miesięcznik

„NAOKOŁO ŚWIATA"

oraz ilustrowany tygodnik

„PRZEGLĄD SPORTOWY"

Uznając nadto, że każdy czytelnik powinien być dokładnie obznajmiony z ruchem wydawniczym polskim i obcym, „Tygodnik Illustrowany" wyjednał dla swoich prenumeratorów 25%-wą zniżkę w prenumeracie dwutygodnika

„PRZEGLĄD BIBLJOGRAFICZNY"

Łączna prenumerata „Tygodnika Illustrowanego" wraz z pismami Bolesława Prusa, miesięcznikiem „Naokoło Świata" i tygodnikiem „Przegląd Sportowy" wynosi w Warszawie KWARTALNIE 20 zł., z przesyłką 21 zł. 50 gr., MIESIĘCZNIE 7 zł., z przesyłką 7 zł. 50 gr.

PRENUMERATĘ PRZYJMUJĄ: ADMINISTRACJA „TYGODNIKA ILLUSTROWANEGO", WARSZAWA, ul. ZGODA 12, JAK RÓWNIEŻ WSZYSTKIE KSIĘGARNIE W WARSZAWIE I NA PROWINCJI, ORAZ KIOSKI T-wa KSIĘG. KOL. „RUCH".

ATRAKCJE GWIAZDKOWE DLA NASZYCH MILUSIENKICH

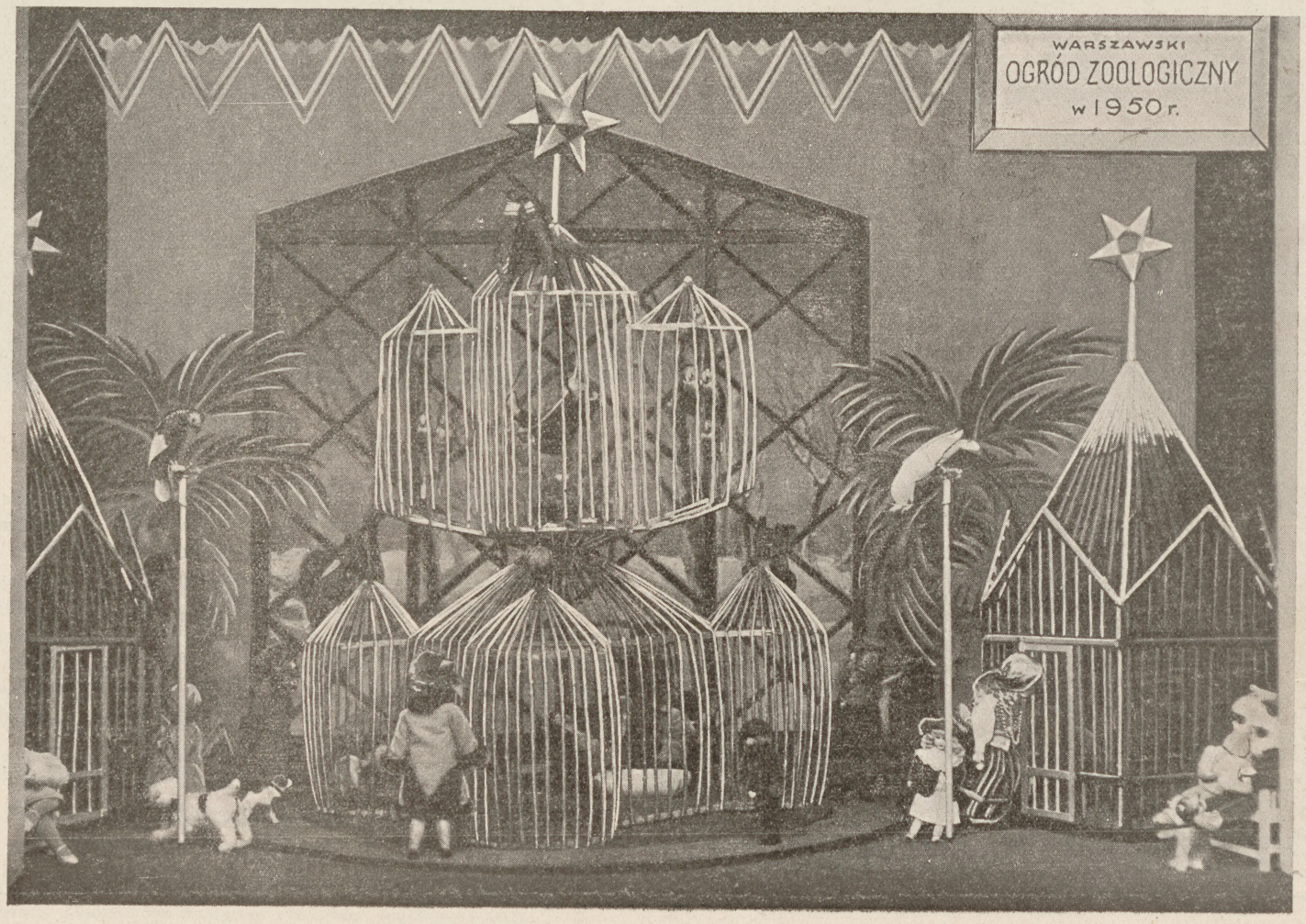
W DOMU TOWAROWYM

„BRACIA JABŁKOWSCY“

WARSZAWA *BRACKA 25*



„Święto Kupały“ (Wystawa ruchoma na I piętrze) Tłumy lalek spieszących na zabawę, tańczących przy muzyce, chłopcy skaczący przez ogniska, wiatrak, strumień i t. p wszystko poruszane mechanicznie.



Ogród zoologiczny (wystawa okienna) zapełniony żywemi oraz mechanicznie poruszanemi zwierzętami.

TYGODNIK ILLUSTROWANY

Nr. 51 OGÓLNEGO ZBIORU 3,448 19 GRUDNIA 1925

ILUSTRACJA DO „CHŁOPÓW“ REYMONTA APOLONJUSZ KĘDZIERSKI



... Jakoż i nazajutrz, jeszcze przed świtaniem, że nieledwie po drugich kurach, a już na wszystkich drogach i ścieżkach do Tymowa ruszali się ludzie.

Kto jeno żył, to z całej okolicy walił na jarmark ...

(Tom I, str. 114)

PRZEMIANY

Lud wiejski w wielomiljonowej swojej masie, z chwilą powstania odnowionego państwa polskiego, nietylko wystąpił na arenę polityczną, jako siła liczebna, lecz — w teorji — stał się także czynnikiem współtwórczym życia narodowego w najszerszym zakresie.

Utarte w terminologji publicystycznej i socjologicznej pojęcia: *lud* i *naród*, stopiły się od tej chwili w jedno pojęcie narodu. Nastąpiło oddawna upragnione zaklamrowanie w tem pojęciu wszystkich Polaków, bez względu na warstwę, do której należą. To, co było marzeniem pokolenia, tworzącego konstytucję 3-go maja, stało się faktem dla pokolenia obecnego i faktem takim pozostanie już dla pokoleń przyszłych.

Niema już w Polsce dzisiejszej „chłopów", tak samo, jak niema „szlachty". Jesteśmy wszyscy obywatelami państwa polskiego o równych prawach i równych obowiązkach. Jesteśmy wszyscy Polakami w znaczeniu etnicznem i państwowem. Stanowimy jeden i jednolity naród, idący jednakowo wykreślonym dla wszystkich szlakiem w przyszłość. A jeżeli co różni nas jeszcze pomiędzy sobą, to niewyrównane dotychczas i do wyrównania trudne *różnice kulturalne*, istniejące pomiędzy elitą intelektualną a masą.

Zmniejszenie tych różnic — to zasypanie dzielącej nas przepaści, to zmniejszenie tarć, istniejących pomiędzy poszczególnemi klasami narodu, to nadanie koniecznej pomiędzy niemi walce cech nietylko współzawodnictwa, lecz i współdziałania tam, gdzie ono jest albo możliwe, albo niezbędne dla całości narodowej, dla interesów zasadniczych i naczelnych państwa. Te interesy górują dzisiaj i górować będą jeszcze długo ponad wszystkiem innem w Polsce, zanim przez wolę potęgi *całego narodu* nie utrwali się jej byt mocarstwowy.

Aby jednak zaspokojenie ich mogło być istotne, trzeba, aby ta wola ogółu rzeczywiście i bez zastrzeżeń była wolą *całego narodu*.

Otóż dzisiaj tak jeszcze nie jest. W rozumieniu interesów państwa i w pojmowaniu obowiązków względem niego różnimy się jeszcze pomiędzy sobą, nie dlatego, że jesteśmy podzieleni na partje polityczne, bo to jest zjawiskiem nieuniknionem w życiu zbiorowem wolnego narodu, lecz dlatego, że stoimy w dwóch przeciwstawiających się sobie obozach — w obozie światła i w obozie ciemnoty, przyczem ten drugi obóz ma ogromną przewagę liczebną nad pierwszym.

Na tem polega tragedja największa Polski dzisiejszej.

Jej elita intelektualna nie może wejść w kontakt z „narodem", jako masą, podobnie bowiem, jak dawniej, z mocy złej i niesprawiedliwej budowy społecznej, utrwalonej przez wieki, lud wiejski stał poza obrębem narodu, którym jedynie był „lud szlachecki", tak samo dzisiaj poza obrębem narodu, mimo, iż z prawa do niego należy, stoi nieoświecona, umysłowo i duchowo niedojrzała miljonowa masa wolnych obywateli — chłopów.

Z tą masą nie możemy się porozumieć bezpośrednio, porozumiewamy się więc z nią za pośrednictwem jej prowodyrów, którzy, aczkolwiek chlubią się tem, że służą ludowi, to jednak zbyt często i zbyt dobrze pamiętają o sobie i uprawiają nieraz skrajną demagogję, która prowadzi nie do zbliżenia, lecz do pogłębienia różnic między ludem a inteligencją.

Nasze ideały, nasze aspiracje i dążenia narodowe i państwowe nie mają też dotychczas dostatecznie silnego oparcia w masie, bo nie są tam ani odczuwane, ani rozumiane wystarczająco. Przeciwnie, brak zaufania do tych ideałów, aspiracyj i dążeń nie jest rzadki i to dlatego tylko, iż pochodzą one od nas, jako od inteligencji, zdyskredytowanej w oczach ludu przez schlebiających mu demagogów. Dla niejednego przedstawiciela ludu inteligencja jest dalszym ciągiem szlachty, uciskającej lud i opierającej swój byt na jego krzywdzie moralnej i wyzysku materjalnym.

Z drugiej strony inteligencja powojenna nie jest tu także bez grzechu. W Polsce ujarzmionej, walczącej o swoje jutro, szła ona ochotnie pomiędzy lud z „oświaty kagańcem" i, mimo trudnych warunków, potrafiła tu i owdzie pozyskać zaufanie tego ludu. W programach wszystkich ówczesnych ugrupowań politycznych *lud* zajmował miejsce naczelne. Zdawano sobie sprawę, że bez uświadomionego narodowo ludu polskiego nie można myśleć o Polsce niepodległej, że nasze powstania typu 1830/31 i 1863/4 roku już się powtórzyć nie mogą, że jedynie wielki ruch narodowy, który ogarnie i poruszy miljony, ma szanse powodzenia. W tym kierunku prowadzono też pracę z wysiłkiem, poświęceniem i niemałemi ofiarami.

Pracę tę przerwał wybuch wojny. W toku tej wojny Polska powstała do nowego życia, jako państwo niepodległe. Powstania swego nie zawdzięcza ona jednak ani ludowi, jako masie, bo lud ten posłusznie i aż do końca walczył w szeregach trzech zaborczych armij, ani inteligencji, która również do końca, podzielona przez odmienne orjentacje, nie zdobyła się na jednolity program niepodległościowy. Polskę niepodległą stworzyły ogólnoświatowe konjunktury polityczne i rewolucja, która rozsadziła wiązania państwowe Rosji, Niemiec i Austrji. Na gruzach tych trzech imperjalizmów i w ogniu poczynań rewolucyjnych budowało się państwo polskie, jako Rzeczpospolita demokratyczna z „sejmem suwerennym" na czele.

Ten sejm, złożony z elementów w znacznej części ludowych, niedojrzałych do twórczej pracy państwowej, ale prowadzonych przez ludzi, którzy wygrywali nastrój i namiętności chwili na rzecz swoich partyj, bez względu na dobro i siłę państwa, rozpoczął swój czteroletni żywot od sporów o reformę rolną.

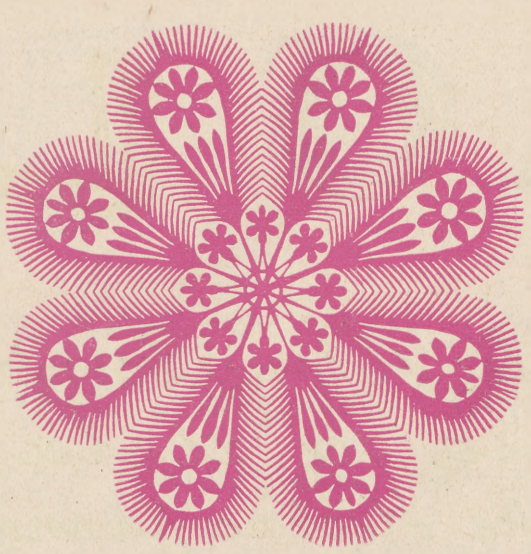
Inteligencja polska żądała od tego sejmu Konstytucji, ustalającej praworządność. Musiała jednak długo czekać na konstytucję. Zamiast niej otrzymała przewlekłe debaty nad reformą rolną, która ostatecznie przeszła w sejmie *jednym* głosem większości.

Okres tych swarów, kłótni a chwilami ostrych walk politycznych, podniecanych przez demagogów lewej i prawej strony Izby, wywołał wśród inteligencji bardzo niepożądany odruch opinji przeciw posłom ludowym, jako „suwerenom", którzy chcą rozstrzygać o przyszłości Polski wyłącznie pod kątem interesów chłopskich.

Jednocześnie ciężkie warunki aprowizacyjne miast przy względnym wówczas dostatku wsi, skrzętne w okresie inflacji przechowywanie przez rolników ziemiopłodów w śpichrzach, chciwość i egoizm podbijających ceny pośredników, co szło na karb ziemianina i chłopa, obróciły miasta przeciw wsiom. Narzekaniom i rozżaleniom na wieś nie było końca. Wieś, ze swojej strony, nie pozostała w zarzutach i oskarżeniach dłużną miastom.

Te rozdźwięki natury gospodarczej miały swoje następstwa.

Ideały „narodowe" ustąpiły na wsi miejsca ideałom „ludowym". Hasło „z



ludem i przez lud dla ludu“ upadło, zastąpione hasłem wyłącznie ludowem. Zaczęto nawet mówić o zbutwiałej i przeżytej kulturze szlacheckiej i burżuazyjnej, której należy przeciwstawić młodą, żywotną i pełną sił *kulturę ludową*, jakgdyby w Polsce nie było *kultury narodowej*, wspólnej wszystkim warstwom i jednoczącej wszystkich Polaków pod jednym dachem wznoszonej przez wieki budowli.

Z drugiej strony od krańcowości jednej przerzucono się do krańcowości drugiej. Po epoce chłopomaństwa ideologicznego i fetyszyzmu dla sztuki ludowej, nastąpiła epoka zobojętnienia inteligencji na objawy samorodnej kultury ludowej.

Ta obojętność trwa. Zainteresowanie się młodej inteligencji polskiej problematem wsi i ludu wiejskiego jest bardzo małe. Odwrotnie, wieś nie interesuje się wcale tem, co dzieje się w miastach.

Myliłby się jednak ten, kto, patrząc na rezerwę wsi, myślałby, że się tam nic nie dzieje, że wszystko stanęło i czeka. Jak wszędzie, tak i na wsi, życie ma swoje prawa, i chociaż powoli, ale kroczy naprzód. Wojna i jej następstwa przeorały psychikę ludu polskiego nie mniej głęboko, jak przeorały psychikę inteligencji. Z jednakowego posiewu jednakowe tu i tam wzeszły ziarna. Ujawniło się jednakowe zło i jednakowe dobro.

Chłop taki, jakim go odmalował Reymont, należy już do przeszłości. Oczywiście, trzon jego duszy, tak trafnie uchwycony i odtworzony przez geniusz wielkiego pisarza, pozostał niezmieniony, ale zmieniło się i zmienia nieustannie wszystko dokoła niego, cały wewnętrzny i zewnętrzny aparat duszy ludowej, reagującej dzisiaj na swój sposób na wszystko, co się dzieje w Polsce, i krytycznie wobec państwa polskiego usposobionej.

Inne są czasy, więc i ludzie inni.

Chłop powojenny, mimo, że jest jeszcze analfabetą i że może dopiero wnuki jego będą umiały na całym obszarze Polski czytać i pisać, jest przecież bezporównania mądrzejszy od chłopa z przedwojny. Jako żołnierz brał on udział w walkach na Zachodzie i Wschodzie. Przewędrował wiele świata i widział niejedno. To mu dało możność odczucia swojej siły, swojego rozstrzygającego znaczenia w narodzie, którego stanowi 70%-ową większość. To go też skłoniło ku rozumieniu Polski „narodowej“, jako Polski „chłopskiej“, do której inne warstwy powinny pójść w służbe. W wyniku swoich żądań, nie liczących się ani ze stanem gospodarczym państwa, ani z jego zasobami pieniężnemi, mamy już po raz drugi uchwaloną, w zmienionej i łagodniejszej postaci, nie mniej jednak zgoła nierealną, bo niewykonalną reformę rolną, która grozi ruiną na czas dłuższy całemu rolnictwu krajowemu, i tak zrujnowanemu już przez nadmierne opodatkowanie.

Jednak to się już stało i z tym faktem trzeba się liczyć. Reforma rolna, mimo wszystkich swoich ujemnych doraźnie następstw, jest nieodwołalna.

Stawia to wieś polską w przededniu i w obliczu daleko idących przemian. Jesteśmy na rozdrożu. Epoka chłopa uwłaszczonego, borykającego się z ciężkiemi warunkami istnienia, kończy się. Zaczyna się epoka nowa — epoka uobywatelonego ludu wiejskiego, posiadającego równe z innemi warstwami narodu prawa i równe obowiązki. Od tego, jakiemi drogami ten lud pójdzie, ku jakim uczuciom i myślom skłoni się, jak się wyrobi i jak dojrzeje, zależy cała przyszłość Polski.

Nie jest bynajmniej paradoksem twierdzenie, iż Polska będzie taka, jakiem będzie za lat 50 czy 100 jej włościaństwo, najliczniejsza i najtrwalsza bo przez posiadanie ziemi związana z nią na zawsze warstwa narodu.

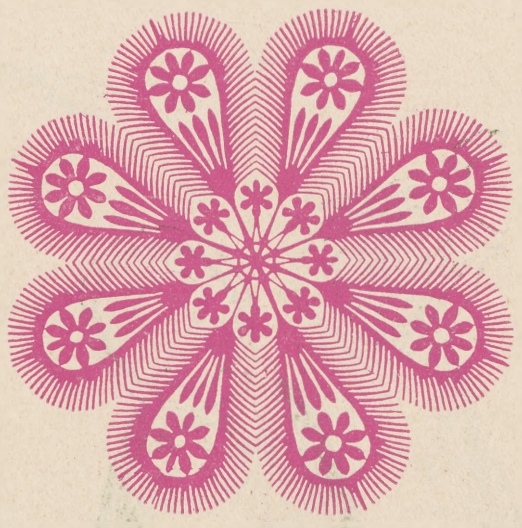
W okresie tej przemiany, która już się odbywa i odbywać się będzie niepowstrzymanie w dalszym ciągu, lud wiejski nie może być ani pozostawiony sam sobie, ani wydany na łup agitacji wyłącznie politycznej, prowadzonej wśród niego przez stronnictwa lewicy czy prawicy społecznej. Musi on mieć oddanych sobie przewodników, którzy poniosą tam ideał narodowy i państwowy, w jego czystej, niezbrukanej interesami partyjnemi postaci, którzy ideałowi temu będą służyli bezinteresownie i, prędzej czy później, zaszczepią go wśród miljonowej masy, co ją uczyni dopiero naprawdę i bez zastrzeżeń „narodem polskim“.

Jedną z klęsk, jednem z nieszczęść naszego kraju jest brak w nim należytego rozprowadzenia po całym kraju inteligencji.

Jeżeli jednak mówimy o potrzebie odpływu na wieś inteligencji, to inteligencji prawdziwej, najlepszej, najbardziej obywatelskiej.

Taką inteligencję trzeba dopiero wychować i przygotować ją do zaszczytnej misji.





Nie łudźmy się też bynajmniej, aby ta praca mogła być dokonaną z dzisiaj na jutro. Długich lat na nią potrzeba. Wiemy, ale to nas nie zraża. Naodwrót, z tym większym zapałem, z tym większym wysiłkiem pokolenie, które chce istotnie budować Polskę i rozumie, że w budowaniu tem trzeba zacząć od podstawy ludowej, przystąpić musi do programu pracy organicznej na wsi.

I niech nikt się nie lęka tego określenia w przypuszczeniu, że je wydobywamy z lamusu przeżytków. Jest ono dzisiaj tak samo na dobie, jak było po roku 1863-im. Jak wówczas bowiem dźwigaliśmy się z klęski, tak samo dźwigamy się dzisiaj, z tą jedynie różnicą, że musimy podźwignąć się szybciej i stanąć daleko wyżej.

Nadto mamy do czynienia z materjałem niewątpliwie coraz lepszym. Lud nasz posiada już doświadczenie dziejowe, wrodzony pęd do życia kulturalnego, życia tego pożąda i coraz świadomiej będzie tworzeniu jego współdziałał.

Idzie tylko o to, abyśmy corychlej odnaleźli wspólny z nim język. Język porozumienia i ufności.

Idzie o to, aby zamiast dzisiejszego braku zaufania, niedowierzania i niechęci zjawiło się wzajemne zaufanie, wiara i chęć do pracy i współpracy nad tą jednością kulturalną, bez której niema narodu.

Jesteśmy *jednym narodem* i na wsi i w miastach. Jedna zrodziła nas ziemia, jeden łączy nas język, pod wiązaniami jednego, wspólnego, żyjemy państwa. Jedne grożą nam niebezpieczeństwa, jedne są nasze troski i jedne nasze radości. W jedności jest nasza siła i przyszłość. A i siła ta i przyszłość zależą od jednego polskiego ideału, który potrafi tym samym płomieniem ogarnąć mózg rozumnego i czującego po polsku włościanina i mózg inteligenta miejskiego.

Pojednanie tych mózgów i rąk musi stać się naczelnym programem narodu, który chce mieć prawdziwie wolne i niepodległe państwo i przekazać je dalszym pokoleniom w zdrowiu i mocy. Współdziałanie jest tu niezbędne i nie da się dłużej odkładać. Nic, co ludu dotyczy, nie powinno być obce, nam, inteligencji, ale również lud ze swej strony powinien wiedzieć i rozumieć, że nie siła liczebna, lecz duch, myśl i dorobek kulturalny narodu tworzą jego potęgę i wywalczają mu miejsce wśród innych.

Z. Dębicki.

KOLĘDA



Z tamtej strony Dworka
zielenią się ziola,
przechodzi się śliczna panna
z niebieskiego Dworka.
W ogródeczku była,
dwa wianuszki wiła,
hej kolęda, kolęda.

W ogródeczku była,
dwa wieneczki wiła,
jeden Panu Jezusowi
na główkę włożyła,
w drugim sama chodzi
i Dzieciątko wodzi,
hej kolęda, kolęda.





Przyleciało do niej
niebieskie ptaszątko,
zwiastowało tej Maryi,
że będzie Dzieciątko.
Maryja się zlękła,
na kolana klękła,
hej kolęda, kolęda.

Zdobił W. Husarski

Merjo nie lękaj się,
bez Ducha Świętego,
coś poczęła, to porodzisz,
Boga prawdziwego,
poczniesz i porodzisz
Boga prawdziwego,
hej kolęda, kolęda





Do klasztoru weszła,
oczki w górę wzniesła,
a daj-że mi, Panie Boże,
bym tej chwały doszła.
jak tej chwały dojdę,
Bogu służyć będę,
hej kolęda, kolęda.

GLORIA
IN
EXCELSIS
DEO



Według O. Kolberga: Mazowsze, T. I, str. 98

JAK SIĘ W PIETRKOWY SERCE ROZSZERZYŁO?

Wieś przycupnęła pod pagórkami, otaczającemi niewielką dolinę łąk — przerżniętą wąziutką taśmą rzeki.

Chałup nie było widać. Tonęły w zieleni wierzb i rozłożystych grusz — najczęściej dzikich a wybujałych.

Jedne chałupy przystanęły wzdłuż drogi nad rzeczką — inne wywedrowały głębokim wąwozem w oddale pól — a jeszcze inne zabłądziły pod lasek, który pokrywał jedno ze wzgórz.

Właśnie pod laskiem w gardzieli zarośniętego leszczyną rozdola — opierając się na pochyłości tak zwanej powszechnie łysej góry — stała i nie stała— a raczej zajęta była wiekowem trwaniem — wrośnięta już w ziemię chałupinka gajowego Pietrzka. Mizerna!

Jedna to izba i bez podłogi z maleńkiem okienkiem, nieśmiało wyglądającem na świat.

Ale zato ściany zawieszone były świętemi obrazami od góry do dołu. I nie byle jakie obrazy!

Były i takie, co je Pietrek przywoził z odpustów na Kalwarji — a i cudowniuśką Panienkę przyniesła Pietrkowa na plecach z samej Jasnej Góry.

To było całe bogactwo domowe. Innego tam sprzętu nie było, bo i skąd? Trzy morgi ziemi za lasem i małe gajowanie. Trza było ciesielka dorabiać — a przednówek to się ta i długi wydawał.

Ale przy boskiej pomocy i ludzkiej żyć można, — więc się i Pietrzkom żyło latami w pobożności i staraniu.

Już i Jaś—jedyne dziecie—powojażował za morze—do Ameryki. Może mu tam i lepiej będzie—niż ojcom, to trudno.

Matczysko się żaliło po rozstaniu, choć synalek był hardy i nieraz przeciw niej pyskował. Ale bieluśki był — jak żaden we wsi — więc i te jego cierpkie przymówki szły w niepamięć, tylko zostawało tęskliwe wspomnienie w matczynem sercu.

A Pietrek—jak Pietrek. Pobożny był — ale i twardy. I za borsukiem po całych nocach łaził—i papierosy ćmił—i zakląć ta nieźle potrafił—i w gazetach się rozglądał—i ręką niecierpliwie machał, w cięższych okolicznościach przygadując.

— A — rób se, jak chces.

Frasowała się kobiecina biedą i opuszczeniem. Lecz znajdowała pocieszenie w żarliwej modlitwie.

Paskiem św. Franciszka biodra przepasała i do bractwa różańcowego się zapisała — ostatnie grosze za jaja zdobyte składała na potrzeby duchowne — Panu Jezuskowi na ochfiarowanie.

To ta się jakoś żyło w tej izbinie — na podwórku — w ogródku — z krowiną, prosiętami, kurkami.

Po całych dniach rozlegał się jej śpiewny, nieszporny głos na Podlasiu.

To prosiaki zwoływała, to kury karmiła, to Wiśniochę pędzała po granicach.

A Pietrek — jak Pietrek. Polazł gdziesić na wieś z siekiro — bo komuś się ta wrota obaliły.

Luto było kobicie samej na odludziu, więc się przymawiała do stworzeń bożych. Cieszyło ją wesołe gdakanie kur, świegotanie wróbli na wiśniach. Gaworzyła — zachęcała do jedzenia — fukała więcej udając — na zbereżne — i tak schodził dzionek za dzionkiem.

A najbardziej to już polubiła niedzielę. Do kościoła było daleko — więc się po drodze można było nagwarzyć z ludźmi, których w powszedni dzień prawie nie spotykała — i pomodlić godziwie na cały tydzień — i po świecie rozejrzeć.

Niebo się na pagórkach rozszerzało. Widać było sąsiednie wsie — hen — hen jakieś okolice i dziwne, zamglone końce świata.

— Pewnie tam się już i morze zaczyna — myślała se — i ta Ameryka, gdzie się poniewiro jej jedynaczek.

— Oj—wzdychała żałośnie—pocóż cie tam Pan Jezus zaprowadził na utrapienie moje. — Jesce ci tam skaplirz na piersiach rozerwią i pocirza oduco?



Bo dla niej był jeden naród chrześcijański. Ten przedewszystkiem, co chodził do jej kościoła parafjalnego — i co bywał na odpustach — a tam to już same jakieś turki, żydy i pogany.

I broniła kościoła swego i religii. Zaperzała się i obrzucała wyzwiskami przechodnia, który na słowo boże nie odpowiedział, albo nie uchylił czapki przed figurą lub krzyżem.

Pan — nie pan, ze wsi — czy z miasta — nie pytała.

— A ty zydzie! To tak cię ucvli. Słowa boskiego nie wymówi. Kaszkietu załuje. A tty!

Omierza — kończyła z naciskiem.

O — lepiej już było nie odpowiadać. Do oczu skakała — i nawet kijem wygrażała.

Oberwało się niejednemu, a i jakiemuś urzędnikowi z miasta, — o co były kurewody i omal kobiecina nie odpokutowała w areście swojej apostolskiej zapalczywości.

Pietrek ani ganił ani chwalił takiego postępowania żony. Ludziom się mniej dziwował — jako więcej znajomy świata — a i kobita przecie nic złego nie robiła.

II

Nie pamiętali ludziska — nawet najstarsi we wsi — takiego urodzaju, jaki się w tym roku wydarzył.

Zboża i trawy wyrosły bujnie na podziw i radość mozolnym pracownikom. Ino się oczy śmiały na widok bogactwa w dźbłach, kłosach i korzeniach. A gdy nadeszły żniwa i Bóg piękną pogodą błogosławił, więc się krzątano od świtu do zmierzchu przy obfitych zbiorach. Ledwie żyto, jęczmień i trochę pszenicy lazło do stodół, a owies wszystek już trza było w stertach ustawiać. Pewnie grochy, wyki, koniczyny i siana w stogach stana.

— O loboga, loboga! Tyla tego.

Wszystko ino fruwało — tak sie śpieszono z robota. Wylaził, kto mógł, na pola. Dzieci i nawet starowiny mdławe krzepiły sie w zbożnej robocie.

Byle prędzej — byle więcej — byle prześcignąć jeden drugiego.

To ta i Pietrzkom przybyło roboty w te żniwa. Już nie było nawet czasu — jak indziej — pomóc komu w zbieraniu. Pole było za lasem. Trza było zboże znosić w płachtach na plecach, bo dowóz był trudny — no i o konie nie można się było doprosić — tak każdy był zajęty. Żęli oboje — i zbierali — i znosili do szopy chróścianej. Nie mieściło się.

— No — no — kiwał głową Pietrek — chłop barczysty i nachylony nieźle ku ziemi — nie wędzie!

— No — to lepi — dziękować Bogu— ozwała sie Pietrkowa.

— Lepi i nie lepi. Kaz reśte podziejes?

— Kaj podziejes? A dyć w styrcie ustawis na polu i będzie stoła.

— W styrcie ustawis? A cóz w styrcie ustawis?

— Cóz ustawis? A no reśte — owies.

— E — głupioś — już się obruszył Pietrek, któremu się widziało, że z półtora kopy snopków to ta styrty nie będzie. Zeby się ludzie śmioli — dodał, machając ręką. A z cegóz by się śmioli?

— A dyć z twoi styrty.

— Ii — wzruszyła ramionami — niech się śmiejo.

— A mnie się widzi, ze lepi zniść i koło sopy ustawić — próbował przekonywać.

— E — bedzies nosił. Mnie juz krzyz boli od tego nosenio — a w zimie to sie ładniuśko sonkami zwiezie — i bedzie.

Chciała postawić na swojem — bo to zawsze niech ludzie widzą, że i ich błogosławieństwo boże nie ominęło.

Co było robić — chłop ustąpił.

— Styrtka — niechta styrtka.

Dyrdali się więc oboje pod górkę — w las z wiązankami słomy na podścielisko.

On prawą nogę jakoś ślywno odstawiał od środka — i za każdem stąpnięciem trochę posykiwał. Miesiąc temu będzie — jak przy robocie na wsi dziabnął się siekirą pod samem kolanem. Bolało i bolało. Polegiwał — ale na żniwa przecie wstał i kuśtygał jako-tako.

— Uwiro cie — Pietrze? — pytała ze współczuciem postępująca z tyłu kobieta.

— Uwiroć nie uwiro — ino siepie w kolanie — odpowiedział.

— Siepie? Oj — cóz tyz tu poradzić?! zawodziła.

— Ano nic. Trza pockać do jesieni — to ta moze tego borsuka nadybic. Je — jucha. Wcorajsy nocy słysołem, jak chrobościł gdzieś w ogródku. A staro Kiecowo mówili, że ino borsuce sadło przykładać — to pomoze.

— Bodaj ci pomogło, bidokowi. Potrza tyz niesceścia—westchnęła łzawo i przy-

pomniały się jej te noce zimne, kiedy to Pietrek ganiał za borsukiem, a ona samiuśka siedziała w chałupie.

Dyrdali się już dalej w milczeniu i zamyśleniu. Na polu zrobiło się raźniej. Ona dźwigała snopy i znosiła, a on je układał w styrte.

Pomału się ta podnosiło w górę i podnosiło. Trza było już Pietrzkowy widłami snopy zarzucać.

— A dyć to — Pietrze — cheba pirszy roz swojo styrte stawiomy — mowiła rozochocona, zadzierając głowę do góry.

— Dyć pirsy — ino mi się widzi, zem zamało zacon.

— No to bedzie wysso — odparła — zadowolona, że to ich dobro będzie widać zdaleka. Niech ludzie widzą i wiedzą, że to oni nie ostatnie dziady.

Uwijała się po polu — znosiła snopy po dwa odrazu — nie czuła zmęczenia — ani potu, co jej spływał po twarzy. Aż jej się włosy rozczochrały siwawe już nieco. Odgarniała je garścią i smyrgała snopami — jak najżwawsza dziewucha.

A styrta rosła i rosła — jak na pociechę.

— Pietrze — wołała już głośno — a coby to nas Jaś powiedzioł — jakby jo zobocył. Oj — bidocek — poniewiro się i poniewiro — tuby i lo niego chleba starcyło.

— Starcyło nie starcyło, ale cheba tego roku juz nie bedziemy kupować.

Teraz trza było na lince snopy windować, bo i widłami trudno było dostać.

Pietrzkowa raz po raz odchodziła zdala — przysłaniała oczy ręką — oglądała styrtę ze wszystkich stron.

— Pietrze — Pietrze — wysoko — ale i prościutko.

To ci styrtka!—lubowała się.

Rozglądała się po polach, czy ludzie patrzą, co się u nich dzieje. Patrzą nie patrzą — ale styrtka stoi i juz. Myślała się w niej sama radość, aż jej się cieplutko koło serca robiło i rumieńce na twarz wystąpiły.

Oczy promieniały jakąś ekstazą, zachwytem i dziękczynieniem dla dobrego Boga i Panny Najświętszej, że ich nie omineni swemi darami.

A Pietrek aż postękiwał. Kończyć nie tak łatwo i niezwykły był takiej roboty. Słoma się wymiguje i ani okryć. W zakłopotaniu zapomniał nawet o nodze, że go boli. Zakładał — okładał słomą, gładził, muskał — wreszcie skończył. Ładniuśko przyklepał wierzchołek stertki widłami — oparł się plecami o jej pochyłość i rozejrzał po polach. Słońce kończyło już swój dzień i miało się na odchodnem. Powiało od lasku i łąk przyjemnym chłodem. Wszystko przycichało — przytulało się do ziemi na spoczynek. A hen na polach uwijają się ludzie ze zdwojonym pośpiechem — byle więcej zagarnać i sprzątnąć.

Wyrastały sterty jedna obok drugiej— większe i mniejsze. Nie tak to smutno będzie po żniwach — myślał se Pietrek. Będzie na co spojrzeć i czem oko pocieszyć.

— Ale styrt! — wykrzyknął z podziwem.

— A widzis — odezwała się zdołu kobita — dobrze, żeśmy i my wystawili.

— Ano pewnie — przytaknął chłop i zamyślał już o schodzeniu.

Wtem zaszło coś nieoczekiwanego. Rozległ się ogłuszający huk — ziemia zadrżała i aż jęknęła. Zachwiała się styrtka i Pietrek grzmotnął na ziemię. Z wielkiego bólu zemdlało chłopisko. Pietrzkowa nie wiedziała, co się stało, stanęła jak wryta z otwartemi szeroko ustami. Bała się nawet myśleć. Wydało jej się, że to może koniec świata. Nigdy nie słyszała takiego huku. Przecie to nie grzmot — bo i skądże — na niebie ani chmurki. Po dłuższej dopiero chwili oprzytomniała—poczęła się żegnać i ujrzała pod stertą nieruchomo leżącego Pietrka.

— O — Jezu — krzyknęła — i jak



postrzelony ptak rzuciła się na niego. Szarpała go, tarmosiła—podnosiła głowę.

— Pietruś — Pietruś — skamlała — a on leżał i ani drgnął.

Lęk przeraźliwy ściął jej krew w żyłach, zerwała się i szalona pobiegła na pola z krzykiem:

— Ratujcie — ludzie — ratujcie.

A ludzie sami nie mogli zrozumieć — co to takiego się stało. Porzucili robotę i stali rozglądając się dokoła — zahypnotyzowani tym strasznym hukiem.

Dopiero krzyk Pietrkowy odwrócił ich strwożoną uwagę. Zlecieli się do niej z sąsiednich pól — a ona krzyczała i zawodziła.

— Oj — dałam ze se jo tyz dała! Lezy bidocek niezywy pod styrto. Oj — styrty mi się zachciało — niescesno. O coz jo pocne sirota na świecie. Oj — dałam ze se jo tyz dała!

Jedni pobiegli do styrty — a inni co starsi szli tam wolno z Pietrzkowo, która nie ustawała zawodzić, targana bolesnemi wstrząsami.

— Wody przynieśta — wody — krzyczała stara Kiecowa, co pierwsza zbliżyła się do Pietrka i obmacała go po sercu.

— Jesce zipie — ino wody dawojta.

Udrapała palcami trochę wilgotnej ziemi i przyłożyła mu do czoła. Potem rozpięła kamizelkę i koszulę i zaczęła dmuchać leżącemu w nos.

Nim przyniesiono wodę, Pietrek się poruszył i ciężko westchnął. A gdy mu litościwa kobita wylała cały dzbanek na głowę — oprzytomniał wreszcie. Uniósł trochę głowy i powiódł błędnemi oczyma po zgromadzonych. Spróbował nawet przy pomocy Kiecowy podnieść się, ale tylko zawył z bólu i znów opadł na ziemię.

— Oj boli — boli.

Pietrkowa stała opodal z otwartemi ustami i z lękiem w oczach. W piersiach nabrzmiewał wyrzut winy. Ona to — jej pycha sprawiła, że Pietrek mało się co nie zabił — a może i zemrze jeszcze. Bała się przybliżyć i spojrzeć mu w oczy. Straszna odpowiedzialność dławiła jej gardło — nie mogła ani słowa przemówić.

Czuła — że jakiś niewidomy bicz smaga ją po plecach.

— Kara — kara boska — huczało jej w głowie.

— Musi noga złomano — doleciały ją słowa Kiecowej. Zamroczyło się jej w oczach. Myślała, że ziemia usuwa się z pod stóp. Ledwie się utrzymała na nogach.

Nie pamiętała nawet, jak litościwi ludzie ułożyli Pietrka na płachcie, jak wzdychając i współczując niedoli ponieśli go przez las do chałupy. Nie wiedziała, jakim cudem sama się tam znalazła. Nie zapomni tylko jego pierwszego spojrzenia, jakie rzucił na nią — i tych słów wypowiedzianych prawie surowym głosem.

— Nie napasies się cudzemi ocami — nie napasies.

III

Trwoga wisiała nad wsią i ludem niepewnym. Dopiero nazajutrz dowiedzieli się we wsi, co znaczył wczorajszy huk.

Nade dniem już rozklejono karty o mobilizacji, a sołtys opowiedział, że załoga rosyjska w pobliskiem pogranicznem miasteczku wysadziła prochownię.

— Wojna — wojna!

Świat wiejski załopotał lękiem na tę wieść. Opadały bezradne ręce — nogi się plątały—piersi dławiła zmora okropna. Już ją widzieli straszną — upostaciowaną na obrzydliwego molocha, który następuje żelaznemi łapami, zieje ogniem i tłamsi wszystko po drodze, nie dając nikomu pardonu. Ci, co mieli bujniejszą wyobraźnię, już tam z górki za lasem jakieś potyczki ujrzeli, rozróżniali wojska czerwone i czarne — austrjackie, „nasze“, a nawet tureckie. Kobity — siroty po rezerwistach — gromadziły się po chałupach i biadowały, oczekując ostatniego dnia, kiedy przyjdzie ten ktoś i będzie ludziom gardła podrzynał, dzieci przebijał i pastwił się nad biednym narodem. Lament nieopisany. Jeden tylko Pietrek jakby zapomniał o świecie bożym. Wszystko mu się zwaliło na tę nogę, dławiło, targało, kłuło. Leżał na łóżku i wił się w okropnych boleściach. Syczał — jęczał — wzdychał — przeklinał.

Pietrkowa napół przytomna z niewyspania — trwogi — wyrzutów sumienia

wałęsała się po izbinie, maczała płachty w zimnej wodzie i przewijała co chwila coraz bardziej puchnącą nogę.

Kiedy rano nadeszła Kiecowa, by się dowiedzieć o chorego i zakomunikowała straszną nowinę — Pietrek ani się zląkł — ani zdziwił — ino się uniósł cokolwiek na rękach i twardym głosem powiedział.

— A niech juz przyńdo — i niech mnie zadźgają do reśty.

Te słowa jak sztylety wbiły się w serce Pietrkowy, raniły i szarpały boleśnie. Jednocześnie w duszy rodziła się jakaś



zawziętość, opór. Nie. Nie pozwoli — nie da. Choćby trupem miała paść — będzie go broniła, a Matka Litosierna go uzdrowi.

Padła na kolana przed obrazem Częstochowskiej.

— Panienko — ratuj — krzyknęła i przylgnęła twarzą do ziemi. Długo tak leżała — w dławionych szlochach, szukając pomocy i ulgi. Natchnął ją Bóg pokrzepieniem, coś ta się w niej postanowiło i już wytrwale pielęgnowała chorego w dzień i noc. Ino od czasu do czasu wyglądała oknem — a po nocach nadsłuchiwała czujnie.

Jakoś na trzeci dzień po wypadku obiegały wieś trwożne głosy:

— Idą — idą — — hań — od Międzyborza.

Tuman kurzu wznosił się na horyzoncie i zbliżał skrętem pochyłym ku wsi. W chałupach rozlegał się lament kobiet i dzieci — a i chłopi potracili głowy. Ten bydło odwiązywał w oborze, tamten leciał z pierzynkami, a ów dzieci do piwnicy pakował. Zamieszanie — krzyk — hałas — trwoga.

— Co robić? — pytał jeden drugiego.

— Kryć się po dołach? W lesie? Niewiadomo — co lepi.

— Siedzić w chałupach — wreszcie odnalazł swoje zdanie siwy Gabryl.

— I mnie się tyz widzi — odezwał się i sołtys. Co w chałupie — to w chałupie. Zawdy na swojem — choćby i zginoc.

Więc się gromadził lud po chałupach— mimo że dzień był robotny i „strasno mitręga!". Jeno tam śmielsze podrostki wybiegały za płoty, albo lazły na strzechy, by popatrzeć, co się dzieje.

A już za wsią — na gościńcu ukazał się oddział konny. Zatrzymał się na chwilę przed mostem — koło figury — i popędził dalej, mijając wieś.

Niedługo potem rozsnuł się olbrzymi wąż piechoty, któremu nie było końca. Wł się i wił — przechodził i ciągle wywijał ogonem na skręcie pod lasem. Tylko most dudnił pod tupotem tysiąca stóp i ciężarem kół.

Ludzie aż się dziwili, że przechodzą obok i nie zaczepiają wsi.

— Ani strzelają? ani co?

Więc odważniejsi poczęli się ostrożnie, chyłkiem wysuwać poza wieś — pomału zbliżyli się do gościńca, którędy maszerowały nieprzerwanym ciągiem austrjackie kolumny. Wkrótce cała wieś stała już koło mostu i przyglądała się niezwykłemu dziwowisku. Wojsko było usposobione przyjaźnie. Rozlegały się z szeregów wesołe okrzyki, dowcipy — pytania — kobiety nawet mlekiem częstowały spragnionych żołnierzy—a dziewuchom się oczy śmiały — i niejedna jabłko rzuciła — albo z figlów i gałązkę na żołnierza.

Kiedy Pietrkowa dojrzała na gościńcu chmary idącego wojska — wymknęła się pocichu z izby — zostawiając tam jęczącego Pietrka ze staro Kiecowo — w ciemnej sieni namacała motykę — złapała ją i wybiegła na dwór.

Zaparła za sobą drzwi, zamknęła je na kłódkę i stanęła obok. Przysłoniła oczy ręką i zaczęła się wpatrywać. Gdy już rozróżniła sylwetki poszczególnych żołnierzy — zawrzała od złości. Wydało się jej, że każdy z nich dybie na życie Pietrka.

— Chodź — no tu synu pogański — mruczała, z pasją wywijając motyką.

Ale wojsko nie zauważyło nawet groźnego wyzwania — szło i szło bez ustanku — jeno most dudnił — jeno migały w słońcu lufy karabinów na niebieskiem polu mundurów.

Nie strzymała kobita zawodu i ciekawości. Pobiegła naprzełaj przez łąkę do gościńca i stanęła samiuśka naprzeciw idących pułków. Patrzyła z nienawiścią na postępujące kolumny — coś się w niej gotowało — pierś dyszała szaleństwem.

— Niech ino który zacznie — myślała. Zginie to zginie — ale Pietrka pomści.

Lecz nikt nie wszczynał z nią wojny. Nawet jakiś żołnierz, maszerując mimo, zapytał:

— Matko — a nie widzieliście Moskala?

Zdumiała się kobita. Skąd to takie turki mówią po nasemu?

— A cóz ci do tego? — mruknęła złowrogo. Widzicie go!

Jednak i teraz nikt nie zwrócił uwagi na tę zaczepkę. Fala płynęła dalej bez przerwy — bez końca — w monotonji wybijanego taktu.

Pietrzkowy znudziło się samotne stanie. Dojrzała ludzi ze wsi koło mostu — pod figurą. Ruszyła tam. W gromadzie panował nastrój wesoły — jakby w odwet za poprzednią obawę. Chłopi nawet wyrażali sympatję dla pokojowo usposobionego wojska.

Pietrzkową jeszcze bardziej to rozłościło. Nie mogła nijak tego zrozumieć.

— Boże, co się z temi ludźmi stało — mamrotała. W głowach jem się zamroczyło. Kumają się z poganami! Oczy płonęły jej ogniem — na twarz wystąpiły wypieki. Kurczowo zaciskała palce. Nie wytrzyma. Rzuci się i będzie dziabać motyką.

Przecisnęła się przez tłum gapiów, zasłaniających jej widok — wysunęła się naprzód — przed front.

Patrzy — oczom nie wierzy.

Co się dzieje? Czy jej się śni — czy co? Przeciera oczy. Nie. Naprawdę widzi. Ale co widzi? Przechodzący mimo figury Matki Boskiej żołnierze zdejmują czapki, a niektórzy nawet pobożnie się żegnają. Do oczu kobiecinie napływają łzy, twarz się wykrzywia w bolesnych skurczach — palce się rozluźniają — motyka wypada na ziemie.

Wzniósłszy ręce do góry, nachyla się ku idącym i nadludzkim, przejmującym głosem woła:

— A dyć to Chrześcijany.

Ludzie — bójta się Boga — gdzie idziecie?

Chrześcijany — Chrześcijany! A wróćtaz się do domu.

Rozkrzyżowała ręce — jakby chciała ich zawrócić. Gorąca fala krwi wstrząsała piersią i dudniła w skroniach — serce łopotało jak dzwon wielkanocny — głos się łamał i rozdzierał na strzępy.

Bezwolna już padła na jakiegoś wąsatego żołnierza i poczęła go całować po piersiach, opuściła się na kolana i chytała za nogi.

— Ludzie — ludzie — Chrześcijany — bełkotała zachrypłym głosem.

W szeregach zrobił się tumult, ale ludzie odciągnęli wreszcie z drogi Pietrkową i ułożyli ledwie żywą koło figury. Leżała z przymkniętemi powiekami — tylko usta się poruszały i szeleściły ciche pacierze. A obok płynęła dalej sina fala mundurów — jeno migały na niej błyski luf karabinowych — jeno tysiączne kroki dudniły na moście — bez końca.

— — — — — — — —



Pietrka opatrzył nazajutrz kwaterujący we wsi chirurg wojskowy, a styrtkę przez noc schrupały konie austrjackie.

— Bóg dał — Bóg wziął — pomyślała Pietrkowa. Nawet była rada, że się tak stało.

Ale się w głowie kobiecinie świat przewrócił. Ciągle jej huczało to jedno słowo — „chrześcijany" — i nijak nie mogła wyrozumieć, czemu to się tak na świecie dzieje.

Stanisław Młodożeniec

SZOPKA

Halszce i Attessie



Zdobił T. Gronowski

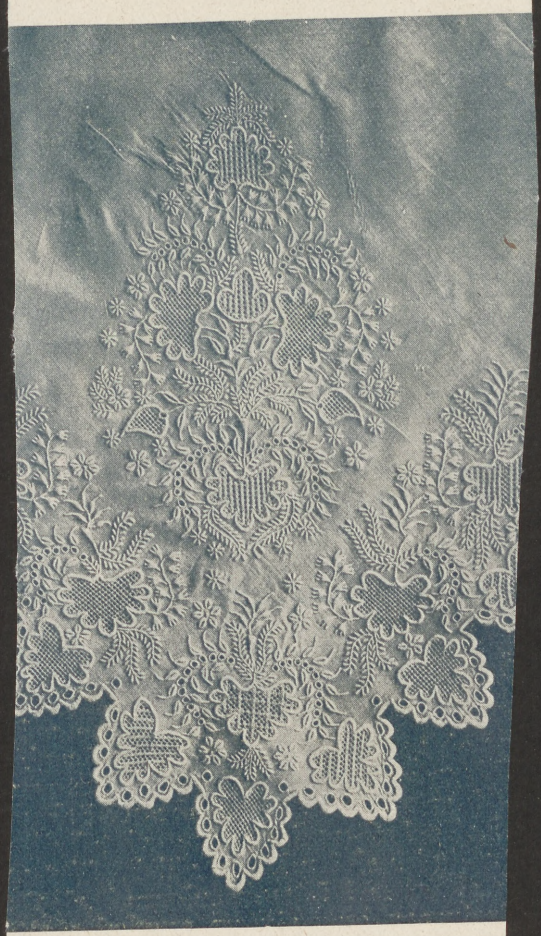


nym zmianom. Jedne z nich przeobra-
żają się w ciągu bardzo krótkiego czasu,
inne potrzebują na to tysiącoleci.

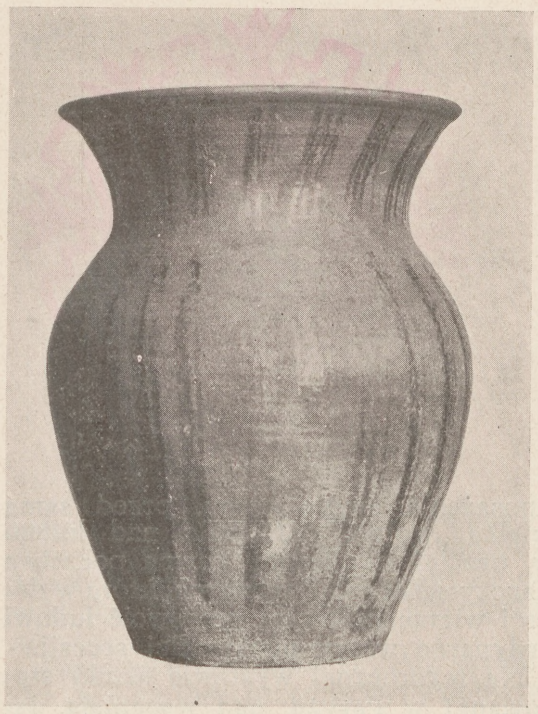
Przyjrzyjmy się serdakom góralskim
na Podhalu. Ten skromny przyodzie-
wek może opowiedzieć nam prastare
je zdobnictwa, wspólne dla całej
zkości. Zwyczajny szew, łączący
a kawały skóry, jest jednym z naj-
wotniejszych motywów zdobniczych.
połączonych skórach ścieg szwu
ejawia się jako plama, różniąca się
tła i w ten sposób dał naturalną pod-
wę ornamentu na stroju. Pierwotna
paseczek ze skóry, przeobrazi się
tępnie w wycinankę skórzaną, która
czasów człowieka pierwotnego do
ś zdobi, jako naszycie, wyroby ze skó-
Z biegiem czasu skórzane obszycie
eżne, leluje, ząbki i inne ozdoby
eobrażają się w haft jednolity,
którym rozpoznać możemy jego pier-
tne pochodzenie z kawałka skóry, na-
tej na kożuch. Krótka wycieczka po
uzeum etnograficznem w Warszawie
rzyjrzenie się wystawionym tam oka-
m zdobnictwa na skórze i tkaninie, wy-



WYCINANKA (POW. PUŁAWSKI)



AFT Z KRAKOWSKIEGO (Krak. Muz. Etno



PNIEWO (ŁOMŻYŃSKIE) (Warsz. Muz. Etnogr.)

my tam z łatwością, jak te same motywy zdobnicze, być może wspólne tym ludom w zamierzchłej przeszłości, kształtowały się i przeobrażały w ciągu wieków w myśl wymogów warunków naturalnych środowiska. Styl wrodzony każdej z tych grup ludzkich, ujęty w karby wszechwładnych norm życia, z tych samych pierwocin wytworzył arabeskowe wyszycia ajnów, winjetowe ozdoby goldów, wreszcie tak swoiste hafty chińskie. Odpowiednikiem rozwojowym tych wspaniałych wytworów chińskich są u nas naszycia i hafty na serdakach i guńkach góralskich, aplikacje z czerwonego sukna na bronzowych sukmanach skalmierskich. Na wspaniałych, szerokich pasach skórzanych, rozpowszechnionych do dziś jeszcze na całej góralszczyźnie i na podgórzu, występują bardzo charakterystyczne zespoły motywów zasadniczych, będących przejawem najpierwotniejszej techniki na najstarszym materjale, na skórze. Możemy zestawić ze sobą dwa takie okazy, jak pas skalmierski i podobny wyrób czukczów. Te same materjały i te same środki techniczne. Oba są prawdziwemi dziełami sztuki, — mądrym wyrazem zespolenia w jedną całość zasadniczych motywów zdobniczych. Różni je odmienna rytmika kompozycji — to, co jest najistotniejszą artystyczną cechą każdej indywidualnie zarysowanej grupy ludzkiej. Lud polski posiada bardzo subtelnie zaznaczoną własną indywidualność artystyczną. Mimo pewnych różnic dzielnicowych, bardzo dobitnie zaznaczają się wspólne cechy grupowe i wyraźne różnice w stosunku do naszych sąsiadów: Litwinów, Rusinów, Czechów i Niemców. Ujmując w kilku słowach te cechy rytmiki polskiej sztuki ludowej, możemy powiedzieć, że charakteryzuje ją — *umiar, dystynkcja i dyskrecja*. O prawdzie tych słów możemy się przekonać, obserwując okazy zgromadzone w Muzeum etnograficznem w Warszawie, a pochodzące z różnych dzielnic Polski.

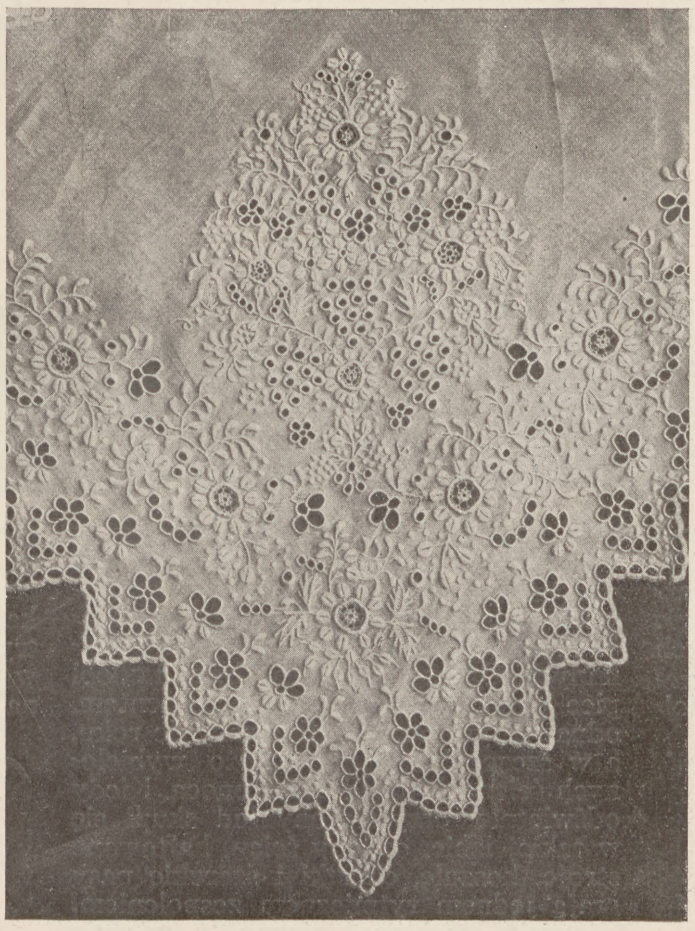
Ale zanim wejdziemy tam, zapomnijmy o istnieniu potworów, o których pisałem na wstępie tego artykułu. Zapomnijmy o tej źle zrozumianej sztuce stosowanej, pasorzytującej na subtelnej twórczości ludowej.

Najbardziej uderzającym przejawem zmysłu artystycznego ludu jest jego strój. Od dolnego biegu Wisły w górę, długie, ciemne sukmany stają się coraz krótsze i coraz jaśniejsze. Od długich, kujawskich sukman granatowych, ujętych w biodrach pasem wełnianym, do lekkich narzuconych na ramiona, jasnych, krótkich guń podhalańskich, odnajdujemy całą gamę przejść i przeobrażeń. Zwróćmy uwagę na niektóre grupy.

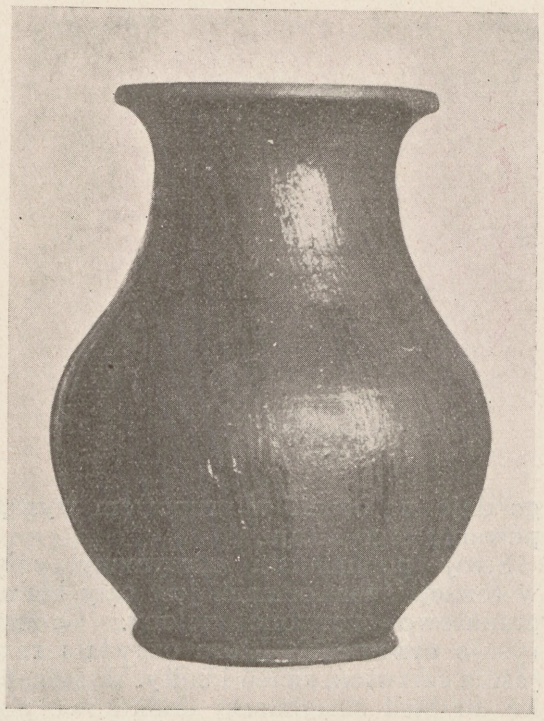
Piękno stroju ludowego może się zaznaczać dwojako. Może on być piękny sam przez się, a równocześnie zatracać się w zbiorowisku, lub też, będąc interesującym indywidualnie, przejawiać nieoczekiwane wartości w występowaniu grupowem. Do tego typu należą stroje łowicki, krakowski i podhalański.



WYCINANKA (POW. PUŁAWSKI)



HAFT Z KRAKOWSKIEGO (Krak. Muz. Etnogr.)



SOKOŁÓW (SIEDLECKIE) (Warsz. Muz. Etnogr.)

Strój łowicki o motywach szerokich, barwnych pasów równoległych, jest jedynem w swoim rodzaju zjawiskiem w Europie. Nie znam stroju, któryby miał równie wielkie rytmiczne wartości grupowe, jak strój łowicki.

Kto widział ten strój odosobniony, nie jest w stanie wyobrazić sobie, jak wielka czeka go niespodzianka na uroczystości Bożego Ciała w Łowiczu. Poszczególny wełniak mógłby współzawodniczyć w subtelnej rytmice barw z pięknem dziełem najbardziej utalentowanego paryskiego symultanisty. Ale żyje on pełnią wyrazu dopiero na tle zielonych łąk i pól, w grupach rówieśniczek i sąsiadek, na tle umajonych chat i białych murów kościoła.

Stonowane starodawne wełniaki starszych kobiet, rozsiadłych baniasto na murawie przykościelnej, żywsze w barwach spódnice dziewcząt rówieśniczek, przemykających żwawo rzędami po kilka i kilkanaście, tworzą jednolite smugi tęczowe, zmieniając wartość rytmiczną stroju osobowego na rytmikę grupową.

Na uroczystych obchodach w stolicy łowiczanki przypominają bukietowe, ścięte kwiaty na drutach, rażą tam, stają się czemś niewłaściwem w zestawieniu z ogólnym tonem wielkiego miasta.

Podobno kobiety łowickie obmyślają układ pasów do nowego wełniaka na polach, wtykając między zęby wielkiego, drewnianego grzebienia od przędzy pasma wełny, dobierane według barwy kwiatów. Widziane z samolotu uprawne pola łowickie zdają się być barwnemi pasiakami z ich stroju, rozrzuconemi między ludzkie osiedla. Podczas, gdy strój łowicki gra całą tęczą barw, przyczem barwy żółte, pomarańczowe i czerwone nadają ton całym zespołom, w stroju krakowskim przeważa barwa biała. Ciemny ornament wyszyć, szerokie wyłogi czerwone, a granatowe kaftany pod sukmaną tworzą z wielką powierzchnią bieli żywe sharmonizowane akcenty. Dyskretny stosunek barwnych przestrzeni do zasadniczego tła białe-

go daje się ocenić w grupowem występowaniu tego stroju.

Strój podhalański utrzymany cały w tonacji światłocienia, jest cały biało-granatowo-czerwono-zielony. Granat rysuje ornamenty, które ożywia i rozjaśnia czerwień, zieleń i żółty. W stosunku do bieli zasadniczej dodatkowe powierzchnie barwne redukują się do minimum w porównaniu z podobnym układem powierzchni barwnych w stroju krakowskim. Mówimy tu o typowym stroju krakowskim, ale właściwie każda wieś na całym obszarze województwa posiada swój własny strój odmienny.

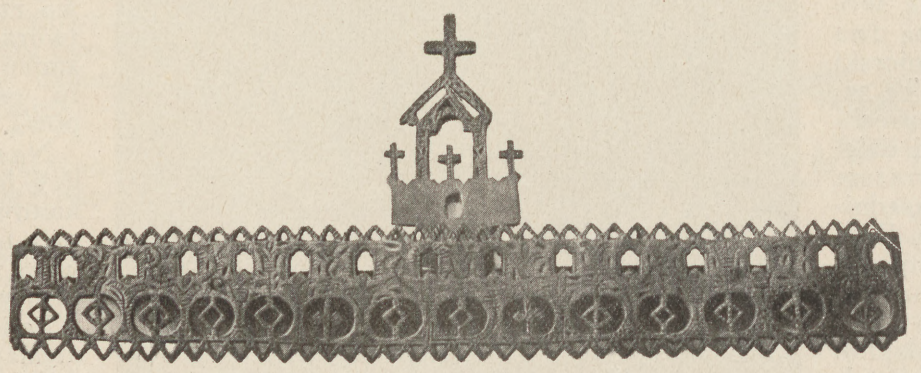
Ktoby chciał w jednym dniu zobaczyć skupione razem wszystkie stroje ludowe z całej kotliny sądeckiej, niech podąża do Starego Sącza na odpust Bł. Kingi. Na pierwszy plan wysuwają się stroje podegrodzkie. Zdobią je najbogatsze w Polsce i niewątpliwie najpiękniejsze barwne hafty ludowe. Tło zazwyczaj bywa ciemne. Bronzowe sukmany wełniane oraz ciemno granatowe kaftany sukienne zdobi szeroki wielopasowy haft kilkokolorowy o żywym tonie słonecznym. Nie występują tutaj wielkopowierzchniowe rytmiczne układy kolorystyczne, jak to ma miejsce w strojach łowickim lub krakowskim. Podczas gdy na białych guńkach i portkach podhalańskich ornament zazwyczaj ciemniejszy jest od tła jasnego, tu stosunek występuje odwrotny.

Podegrodzkie dziewczęta haftem kolorowym przyozdabiają małe, białe chusteczki. Wszechwładna moda wymaga, żeby, idąc do kościoła, wraz z książeczką do nabożeństwa trzymać w ręku taką pięknie ozdobioną chusteczkę. Zazwyczaj na czterech rogach chusteczki widnieje serduszko lub wazonik z kwiatami, wyhaftowany pięciobarwną nicią jedwabną.

Rysunek czterech motywów narożnych bywa bardzo zbliżony do siebie, ale rytmika układu kolorystycznego każdego narożnika jest zazwyczaj zupełnie odmienna. I w tych to właśnie drobnych pracach dziewcząt podegrodzkich przejawia się subtelne poczucie barw i zdolność tworzenia śmiałych a prawdziwie pięknych zespołów rytmicznych. Podobne zjawisko, aczkolwiek przejawione na innym materjale, bo w wycinance papierowej, spostrzegamy w łowickiem. W pa-



DZBANUSZEK Z JAJKA (ŁOWICKIE)
(Warsz. Muz. Etnogr.)

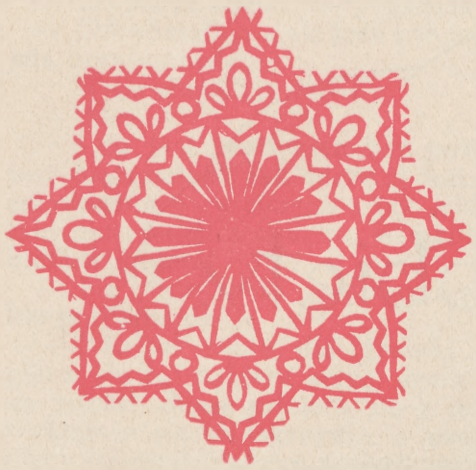


ŁYŻNIK (PODHALE) (Muzeum Podhalańskie)

rafji podegrodzkiej lud nie wystrzyga wycinanek z papieru. Nie miałyby tam one takiego, jak gdzieindziej, zastosowania, bo wnętrze chat zazwyczaj zdobi piękna polichromja o motywach roślinnych. Otacza ona okna, drzwi i zdobi piec dyskretnym, żywym ornamentem, odnawianym raz lub kilka razy do roku, a w szczególności na świeżo wybielonych ścianach przed Wielkonocą. Kiedy odświętnie przystrojony lud skupi się w takiej izbie, ozdoby ścian, haftowane stroje, koszule, chustki i szerokie pasy grają jednem rytmicznem zespoleniem. Zjawisko osobliwe, piękne. I właśnie w tym ośrodku wysoce artystycznego uposażenia, swego czasu, przed samą wielką wojną, pracowała nad ludem w uczelni okolicznej pewna poczciwa nauczycielka robót ręcznych, która w dobrej wierze usiłowała przyswoić ludowi ordynarne wzory niemieckiej secesji.

Na tegorocznej wystawie sztuki stosowanej w Paryżu, nad wspaniałą, jarzącą się barwami skrzynią krakowską z Muzeum etnograficznego w Warszawie rozpiął p. J. Warchałowski kilka arkuszy papieru białego zamalowanych motywami roślinnemi przez dziewczęta z Woli Żelichowskiej, pow. dąbrowskiego. Malowidła te wykonane nieledwie że kwaczem w 5 —7 kolorach farbkami klejowemi, zwracały powszechną uwagę znawców rozmachem kompozycji, śmiałością i szlachetnością barwnych zestawień. Tych skarbów prawie że nikt nie zna w Polsce. Kryją się one w tekach Tow. Sztuki Stosowanej. Wydanie ich jest rzeczą nieodzowną jako wprost rewelacyjnego dokumentu samorodnej, a wysokiej kultury estetycznej naszego ludu.

Podczas gdy lud sądecki zdobi swe wnętrza polichromją ścienną, gdy gdzieindziej, jak n. p. w powiecie dąbrowskim, zawieszają na ścianach papiery malowane, na całym nieledwie obszarze Polski jako ozdoba izby rozwinęła się i rozpowszechniła wycinanka papierowa. Przejęła ona odwieczne tradycje zdobienia ścian domu znakami, z których bardzo wiele musiało mieć kiedyś znaczenie wierzeniowe. W różnych zakątkach kraju rozwinęła się wycinanka w swoistym kierunku, wykształcając własne typy dzielnicowe. Wycinanka łowicka stała się głównie dziełem malarskiem. W papierach kolorowych księżacy wyrazili swoje zdolności kolorystyczne, rozwijane od szeregu pokoleń w tkactwie welnianych pasiaków. Wycinanka kurpiowska przejęła kształty rzeźby w drzewie. Papierowe twory kurpiów robią wrażenie misternie piłką wycinanych barwnych deseczek. Wycinanka podlaska przeniosła na papier geometryczne linje haftów miejscowych, dając w plamach barwnych wrażenie wyszyć na tkaninie. Wycinanka lubelska, rozwi-







jająca się w kierunku linji a nie barwy, doprowadziła w niektórych miejscowościach do wspaniałych wyników. Za dowód służyć mogą załączone ich podobizny.

Papierowe wycinanki ze ścian przeniosły się i na inne przedmioty. Zdobią pisanki, dzbanuszki z jajek, tworząc przybranie na przedmiotach i strojach obrzędowych, jak gwiazda na Gody, szaty osób występujących w jasełkach a wreszcie służąc jako wzory, z których kształtowały się motywy haftu w niektórych okolicach.

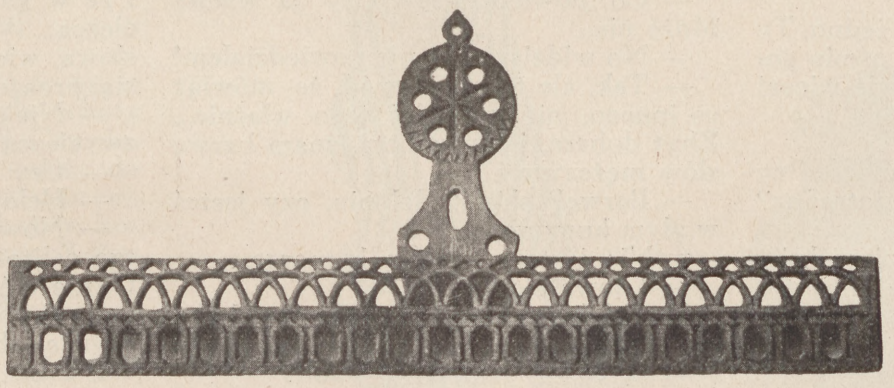
Spotykamy się niekiedy z zarzutem bezcelowości takich wyrobów zdobniczych, jak wycinanki papierowe, dzbanuszki z jajek i inne. Gdy poznajemy przeznaczenie i zastosowanie tych przedmiotów, oraz dzieje ich rozwoju, przekonywamy się, że mają swoje uzasadnienie. Skorupki z jajek, przeobrażone w piękne dzbanuszki, dowodzą subtelnego poczucia kształtu u ich wykonawczyń. Przyozdabiają je nalepione na skorupki barwne wycinanki papierowe, które w doborze barw, kształtów oraz rozmieszczenia ich na powierzchni dzbanuszka wykazują wybitne zdolności dekoracyjne.

Wyroby garncarskie naszego ludu, podobnie jak i wycinanki papierowe, zachowują różnice dzielnicowe. Przejawiają się one w użyciu odmiennych gatunków gliny, w kształcie naczyń, w rodzaju polewy, lub jej braku, a wreszcie w zdobnictwie. Z łatwością możemy rozróżnić pękate dzbany mazowieckie od wąskich dzbanków krakowskich; wspaniałe siwaki podlaskie od jasnych, z wąskiemi szyjami, niepolewanych naczyń z Małopolski wschodniej.

Obserwując dyskretne ozdoby polewanych mis i dzbanów mazowieckich lub lubelskich, zgromadzonych w Muzeum etnograficznem w Warszawie, odczuwamy to mimowoli, że ta skromność nie jest ubóstwem, że przecież garncarz posiadał dostateczną ilość polewy, ażeby mógł nią upstrzyć swój twór od góry do dołu, na podobieństwo ceramiki huculskiej. Ograniczenie się niekiedy tylko do jednej linji falistej, do gałązki rośliny, umieszczonej na najodpowiedniejszem



CHRYSTUS (POW. RADOMSKI)
(Rzeźba ludowa — Krak. Muz. Etnogr.)



ŁYŻNIK (PODHALE) (Muzeum Podhalańskie)

miejscu dla dekoracji i w odpowiednim wymiarze, znamionuje wielki takt i prawdziwie artystyczne poczucie formy i jej stosunku do płaszczyzny dekoracyjnej. Zjawisko to występuje powszechnie u ludu naszego i uważać je możemy za cechę znamienną, wyróżniającą je od naszych sąsiadów.

Szerokiemu ogółowi najbardziej znaną jest rzeźba zakopiańska, która zdobyła sobie miano odrębnego stylu. Nie będę wnikał tutaj w sprawę słuszności podobnego wyróżnienia. Zwracam jedynie uwagę na twory ludowe mniej znane, na łyżniki, których kilka zdjęć podaję. Niewątpliwie niejeden ze zwolenników sztuki zakopiańskiej, nie znajdując tu wyrzeźbionych parzenic, dziewięciosiłów, lub gwiazd sześcioramiennych, nie rozpoznałby w nich dzieł naszego górala. Zwracam jednak uwagę na te skończone dzieła sztuki, mocne w kompozycji, szlachetne w rytmice linjowej. Przypuszczam, że mało kto wie, że gdzieś na Kurpiach nadokienniki drewniane, wycinane piłką, są równie pięknemi dziełami sztuki, jak te łyżniki podhalańskie.

Współczesne warunki bytu nie sprzyjają rozwojowi haftu ludowego. Mimoto dziś jeszcze możemy wyróżnić pewne ośrodki dzielnicowe, w których wykształciły się hafty o cechach pewnej odrębności. Takiemi są barwne hafty kaszubski, drobniutkie o motywach kółeczkowych czerwone hafty kurpiowskie, wielkokwiatowe, przypominające wycinanki, jednobarwne, czarne lub czerwone hafty wilanowskie, geometryczne, krzyżykowate hafty podlaskie, czerwone drobnolisteczkowe hafty sądeckie, a nadewszystko białe hafty krakowskie. Podaję tutaj dwa okazy tych ostatnich, pochodzące z bogatych zbiorów p. S. Udzieli, dyrektora Muzeum etnograficznego w Krakowie.

Odrębnością haftu naszego ludu będzie swoista rytmika kompozycji, która, użytkując nawet motywy powszechnie znane, układa je w zespoły nowe, nacechowane tą samą odrębnością grupową, jaka się przejawia we wszystkich jego tworach, czyto w wycinance z papieru, czy w wycinance w drzewie, czy w stroju. Znamionuje ją umiar, dyskrecja i dystynkcja.

Przyznajmy się szczerze: ludu naszego nie znamy wcale. Nie znamy jego życia, ani obrzędów, ani jego świata myśli. Nie interesuje się tem ogół, ani wyższe uczelnie. A jednak czas wielki zapoznać się z nim i zrozumieć jego mowę, ażeby móc przemówić doń i być zrozumianym.

Eugenjusz Frankowski

Kornel Makuszyński

Jedno słowo kochającej kobiety.



ilustrował Kamil Mackiewicz.

Czy ci przeszkadzam?

— Niebardzo. Potrzebujesz czego?

— Drobnostka... Ja tylko na jedno słowo... Chciałam przytem zobaczyć, czy jeszcze żyjesz?

— Jak widzisz, moja droga, żyję... Mój bohater za to umrze w następnym rozdziale.

— Jeszcze dziś?

— Zapewne jeszcze dziś... Żal ci go?

— Kogo?

— Jego... Myślałem, że cię mój bohater interesuje...

— Nie tak bardzo, jak ciebie...

— Spodziewam się!

— A jeśli się spytałam, czy skręci kark, czy też się zastrzeli jeszcze dzisiaj, to bynajmniej nie z jego powodu.

— Przykro mi, że tak mało obchodzi cię ten biedny człowiek!

— Wcale mnie nie obchodzi! Jedna literacka figura mniej, jedna więcej...

— Ależ, moja najdroższa... Mój bohater...

— Co, twój bohater? Zadymia mi cały dom...

— Na Boga! On?!

— On, czy nie on, wszystko jedno. Ty za niego, albo wy razem... Od ośmiu godzin piszesz i palisz, a właściwie więcej palisz, niż piszesz...

— Od tego jestem...

— Od tego, ale i od czego innego. Czy ty nic innego prócz pisania nie potrafisz?

— Właściwie, to nie...

— Ale za to ja nie umiem pisać książek i nie wiem, co z sobą począć... Jutro święto, jutro Bóg się rodzi, a ty wciąż piszesz... A ja?!...

— Aj, moje biedactwo, doprawdy, nie przyszło mi to na myśl... Serdecznie cię przepraszam... Moja bardzo wielka wina... Tylko, widzisz, Heluniu, książka, którą się pisze, jest jak opium; kiedy się ją z siebie dobywa, ulega się równocześnie jej czarowi, upaja się nią i zapada się w nią z całą świadomością. To nie ja jestem winien, doprawdy, że nie ja! To ta nieszczęsna książka. Niech więc moja najdroższa pozwoli się przeprosić w imieniu i mojem i mojej książki. Dobrze?

— Daj pokój, ach, dajże mi pokój.. Bardzo cię kocham, ale tak przesiąkłeś dymem papierosów, że lepiej będzie, jeśli ten wybłagany pocałunek zostawisz na inny raz, najlepiej na wakacje.

— Trudno... Jestem do twojej dyspozycji.

— Cóż tak uroczyście? Pachniesz nieładnie i ja ci to szczerze mówię! Czy już nie mam prawa powiedzenia ci jednego słowa?

— Ależ, Heluniu, masz prawo, obowiązek, powinność, co chcesz...

— Bo jeśli i tego mi odmówisz, to najlepiej będzie, jeśli ja się zupełnie usunę z twego życia.

— Na Boga! Co ci przyszło do głowy?!

— Nic mi nie przyszło do głowy, tylko tak rozumiem twoje słowa.

— Moje słowa?! Kiedyż ja to powiedziałem?

— Możeś nie powiedział tego wyraźnie i wprost, ale to się doskonale wyczuwa, mój drogi. O, tak! Kobieta jest istotą zbyt czułą, aby w lot nie zrozumiała właściwego znaczenia słów.

— Bardzo dobrze, że kobieta jest tak czuła, ale, przysięgam tobie i sobie, że nigdy nie wypowiedziałem jednego słowa, któreby miało inne znaczenie, niż to, które mieć powinno. Co ja powiedziałem?

— Co powiedziałeś? Czy ja wiem? Może nic...

— No widzisz! Nic nie powiedziałem!

— Tak, ale to nie dowód, że, mówiąc co innego, nie myślałeś tego właśnie... Zbyt dobrze, jako kobieta, znam barwę słów mężczyzny.

— Barwę? słów? Heluniu, czy jesteś w złym humorze?

— Nie jestem w złym humorze...

— Głowa cię boli?

— Gdyby mnie co bolało, to chyba serce.

— Serce? Z jakiego powodu?

— Ach, czy do wszystkiego trzeba zaraz powodu? Czasem człowieka zaboli coś, czego nie można ani nazwać, ani określić... Tak bardzo zaboli, że...

— Że co?

— Czy w twojem zapytaniu niema ironji? Czy to pytanie nie jest smagnięcim bicza po sercu kobiety?

— Jezus, Marja! Ja... biczem?... Co ty mówisz?

— Alboż ja już wiem, co ja mówię? To nie ja mówię, to mówi we mnie ktoś inny, ktoś, kogo życie postawiło nad brzegiem przepaści i za chwilę strąci go w nią jednem pchnięciem dłoni...

— Ależ za co?

— Za co? Dziwnie podstępne są twoje pytania. To już drugie takie w przeciągu kilku minut. Długo o tem myślałam i widzę, że się nie mylę!

— Jakże, moja droga, mogłaś o tem długo myśleć, kiedy nigdy o tem nie było mowy?

— Ach! to ty, znakomity pisarz, nie wiesz o tem, że nie wszystko się człowiekowi wkłada łopatą do głowy, bo są takie stany duchowe, kiedy się wszystko staje jasnem, jak błyskawica.

— Może być, może być! Więc na ciebie przyszło w tej chwili takie rozeźnienie?

— Któż ci to powiedział?

— Przecie ty, w tej chwili!

— Ja? w tej chwili? Mój drogi, mój kochany! Możesz bałamucić ludzi w swoich dramatach, możesz ich ołgiwać w swoich powieściach, ale dlaczego grasz komedje ze mną? Kiedy ja ci to powiedziałam?

— Pan Bóg słyszał!

— Pana Boga do tego nie wtrącaj! Nadajesz złośliwie inne znaczenie moim słowom. Pewnie! pewnie! wiesz przecie o tem dobrze, że ja ciebie nie przegadam i że w każdej rozmowie będziesz zwyciezcą... Ależ, oczywiście! Jesteś władcą słowa, więc się możesz znecać... Znęcaj się, prosze cię, znęcaj się, ile wlezie!

— Nie chcę się znęcać, nie pragnę być zwyciezcą...

— Czy to nowy policzek?

— Heluniu, zastanów się...

— Nowe upokorzenie? Czy ja cię proszę o litość, czy ja cię proszę o łaskę? O, nie mój drogi! Kobieta jest zbyt dumną, aby, nawet zwyciężona, prosić mężczyznę, aby jej wspaniałomyślnie darował życie. Nie chcę tego, gardzę tem!

— Bardzo to madrze z twojej strony...

— Mądrze? Tak! niepokoi cię to, że i kobieta znalazła swoją mądrość i że nie pozwoli sobą poniewierać. To was wszystkich niepokoi, to was dręczy! Wybyście chcieli...

— Kto to „wy“?

— Ty i wszyscy!

— Niech będzie! czegóż to byśmy chcieli?

— Chcesz wiedzieć? Chcielibyście oszołomić kobietę i zabrać jej nawet cierpienie, bo w cierpieniu nabiera się przenikliwej mądrości... Ale kobieta będzie cierpiała!

— Jeśli jej to sprawia przyjemność, niech cierpi!

— Możebyś chciał, żeby umarła?
— Nie chciałbym, ale jeśli i to jej sprawia przyjemność...
— Więc chciałbyś tego?
— Ależ...
— Oto jest gentleman bez pozy, oto jest mężczyzna! Jak pierwej kat wtrącał niewinnego w ciemnicę, tak sobie dziś taki pan, jeden z drugim, wtrąciłby kobietę w śmierć!
— Na Boga! co za przypuszczenie, jakie porównania!
— I to tak sobie, dla igraszki... Najpierw się jej zabiera serce, spala się je na popiół, duszę odziera się z marzeń, wyłamuje się jej skrzydła, a potem — niech umiera! Murzyn spełnił swoją powinność....
— Moja droga! Pozwól, że ci przerwę...
— Proszę, proszę, masz przecie prawo... Czy nam co wolno?
— Wolno, wszystko wolno, ale pozwól,że przerwę. Mówmy serjo...
— Więc się tobie zdaje, że ja żartuję?
— Nic mi się nie zdaje... Pozwól mi mówić. na Boga!
— Albo mężczyzna pyta o pozwolenie? Pan świata!..
— Słuchaj! Mam wrażenie, że jesteś chora... Nie przerywaj, proszę cię, nie przerywaj! Widzisz, że mam pilną robotę, jutro muszę oddać rękopis... Jeśli jesteś chora, zatelefonuję po lekarza; jeśli nie jesteś chora, odłóżmy tę rozmowę na później...
— Nie jestem chora, tylko mnie boli... tu... tu!..
— Chwała Bogu, żeś zdrowa... To jedno mnie niepokoiło!
— A o resztę już jesteś spokojny?
— O jaką resztę?
— O tę, która się nie da zmierzyć termometrem, ani uleczyć pigułką? O tę małą resztę, która z nas czyni męczennice...
— Czekaj, niech odetchnę! Dobrze, rozmawiajmy, ale spokojnie. Wprowadźmy metodę do obłędu...
— Czy to obelga?
— Nie, to przezorność... Rozmawiajmy... Co ciebie boli i co z ciebie czyni męczennicę?
— Więc to ma być śledztwo?
— Jakie śledztwo? Kobieto!
— A cóż innego ma znaczyć to nagłe zainteresowanie się i ta nagła ochota wdarcia się do cudzej duszy? Czy dusza kobiety, dlatego tylko, że należy do kobiety, ma być publicznym gościńcem, po którym może się wałęsać każdy, komu się to podoba? Więc śledztwo? Pan pyta, a niewolnica niech odpowiada!... A może dobrowolna spowiedź?
— Co ty wygadujesz?
— Więc spowiedź! Dobrze, ale przed kim? Kto tu zgrzeszył, a kto ma być sędzią, kto jest winny, a kto ma dawać przebaczenie? Dlaczego to ja mam być tą, która się spowiada! Przedewszystkiem z jakich grzechów? No z jakich? Oskarżasz mnie, więc mów!
— Mnie na myśl nie przyszło...
— Tem gorzej! Więc rzucasz oskarżenia na wiatr; masz pod ręką całe książki słów, więc ci łatwo wybrać najcięższe i ciskać je jak kamienie w moją pierś.
— Moja kochana, moja złota, moja jedyna! Ja wcale nie ciskam kamieniami w twoją pierś...
— Ach, to ty myślisz, że ja to mówię dosłownie? Doskonale, coraz lepiej! Więc według ciebie jestem taka głupia, że nie potrafię skleić przenośni! Doczekałam się, doczekałam! Za moją miłość do szaleństwa, za moją duszę, za moje ciało...
— Śmiem zauważyć, że ci ciała nawet przybyło...
— Tak, to zauważyć potrafisz, tegoś tylko nie zauważył, że mi ubyło tego, czem człowiek żyje!
— A czem to człowiek żyje?
— Złudzeniem! I ty mi to zabrałeś!
— Ja ci zabrałem złudzenie? Jezus, Marja! Jak ja to zdołałem uczynić?
— Zapytaj się swojego sumienia! Zapytaj!
— Z przyjemnością. Otóż moje sumienie powiada, że nie ma sobie nic do wyrzucenia, że ci niczego nie zabierało i pragnie, abyś mu w tej chwili dała spokój.
— Tak? A któż mnie mój spokój powróci? Kto mi odda wszystkie nieprzespane noce, wszystkie udręczenia i wszystkie rozpacze. O! ty ich nie słyszałeś, tyś wtedy spał, kiedy ja sobie wbijałam paznogcie w ciało, aby nie krzyczeć, aby nie łkać i nie szlochać...
— Paznogcie w ciało? Napełniasz mnie zdumieniem!
— A ty mnie goryczą...
— Dlaczegoś to wszystko robiła, jeżeli...
— Jeżeli?
— Jeżeli wogóle to robiłaś...
— Co to ma znaczyć? Nie wierzysz mi?
— Tego nie powiedziałem...
— Więc już takie nadeszły czasy, że się cierpieniu ludzkiemu nie wierzy, dlatego, że jest ciche i milczące! Cudowne czasy, wspaniali ludzie! Lepiej sobie głowę roztrzaskać o mur, niż żyć wśród wilków... Śmiej się, szalej, tańcz i stawaj na głowie, choćby serce w tobie konało, wtedy będą na ciebie patrzeć łaskawie, ale nie waż się cierpieć cicho, bo ci nie raczą uwierzyć!
— Kobieto, na Boga, co ty mówisz?!
— Co ja mówię? Mówię, że nie wierzysz w moją miłość, że nie wierzysz we mnie, że w nic nie wierzysz. O, ja wiem! Ty jesteś przekonany, że ja gram komedję, że cię oszukuję i że cię zdradzam. Powiedz, powiedz wprost, dlaczegóż nie mówisz? Czy twoje milczenie, czy wyraz twojej twarzy w tej chwili nie mówi tego, czego nie ważą się wypowiedzieć słowa? Przecież stoję przed tobą, możesz mnie obrzucić słowem, jak gradem kamieni, możesz mnie wlec za włosy. Proszę cię! ja nie powiem słowa, ani nie wydam jęku, o nie! ja umiem cierpieć bezgłośnie. A skowytu mojej duszy nie usłyszysz... I za co to wszystko? Za to, że cię kocham; że cię uwielbiam; że nie widzę poza tobą niczego i nikogo... Że się usuwam w cień, abyś ty tylko błyszczał w słońcu, że milczę, abyś ty mógł mówić, że nie śpię, abyś ty mógł spać...
— Ale któż ci każe to robić?
— Więc nie chcesz mojej miłości? Gardzisz nią?
— Ależ nie! nie!
— Więc już masz mnie dosyć!
— Nigdy, przenigdy!
— Coś mi o tem mówiło, coś mnie ostrzegało, a ja, niemądra, wierzyłam, że cię zwyciężę potęgą mego cierpienia i pokorą mojej miłości. Walczyłam o ciebie — z tobą. Czy słyszysz? Z tobą o ciebie! I myślałam, że mnie wesprzesz, że mi dodasz sił, abym cię mogła wydobyć z tego bagna zwątpienia, w którem grzęź-



niesz bez ratunku. Szukałam sprzymierzeńca w mojej miłości; we wszystkiem szukałam pomocy, nawet u ciebie, u samobójcy, bo zapomniałam, co powiedział Tagore, że w walce życia własnej trzeba ufać sile. Zemściło się to na mnie, że chciałam być mądrzejsza, niż Indjanin...

— Powiedzmy Hindus...

— Ach, i jego lżysz i to tylko dlatego, że powtarzam jego słowa? O, jakie to szczęście, że nie mamy dzieci, bobyś zamordował własne dziecko, dlatego tylko, że byłoby ono w połowie i mojem. Spróbuj zaprzeczyć, jeżeli możesz? A widzisz, że nie możesz! Zbladłeś i usta ci drżą. Wyglądasz w tej chwili jak człowiek zły, w którym wyrzuty sumienia wyją jak burza. Żal mi cię, bardzo mi cię żal, bo nie myśl, że ja się potrafię mścić. Zemsta jest bronią ludzi małych, kobieta nie jest zdolna do zemsty. Więc mi cię żal! Chciałabym, abyś ratował siebie przed sobą. Zniszcz mnie, nawet zabij, albo wypędź, jak bezdomnego psa — ty to wszystko potrafisz, — tylko nie dręcz mnie i daj mi odejść w spokoju, a może to ci się pomoże ocalić. Ja siebie składam na ofiarę. Widocznie Bóg tak chce!

— Czy skończyłaś?

— Z życiem — tak! Z cierpieniem tylko nie skończyłam, bo teraz zacznie się ono dopiero naprawdę. Chcę jednak cierpieć sama, abyś ty nie cierpiał. Czemu mnie trzymasz w łańcuchach? Czemu mi nie pozwolisz odejść?

— Ale któż ci, u djabła, nie pozwala?

— Aaa! więc ty chcesz tego?

— Nie ja, ale ty!

— O, nie! To twoja myśl, to twoje pragnienie. Więc to tak? Odejść! Pan łaskawie pozwala mi odejść? Przepraszam, ale dokąd? Czy mam stąd pójść, wygnana jak pies i utopić się? Czy może na ulicę? Na ulicę — słyszysz???

— Boże! Boże!

— O, gdyby to moja matka słyszała... Ale ty wiesz, że moja matka w grobie...

— Całe szczęście!

— O, tak, szczęście, boby stanęła przed tobą...

— Nie mów tego przed nocą!

— I plunęłaby ci w twarz...

— Za co?

— Za mnie! Za to, że nasyciłeś się mną i teraz masz mnie dość i że wypędzasz mnie na ulicę między dziewki.

— O! o! o!

— Nie czyń sobie wyrzutów! To słuszna kara, żem nie słuchała rodzonej matki. Ta kobieta wiedziała, kim ty jesteś. Jej święte oczy przewidziały cię na wylot, ale ja, zaślepiona, nie chciałam wiedzieć o niczem, ja, jak wąż oczarowany przez ptaka...

— Naodwrót!

— Ja nie słuchałam, kiedy mi mówiła w dzień przed ślubem: „strzeż się, to literat! a niema większej hołoty na świecie!“ O, matko! o, moja matko! Czemuś mnie oddała w te ręce i czemu teraz musimy obie płakać, ty w grobie, a ja—gorzej, niż w grobie?

— To straszne!

— Straszne? O, nie! To wesołe... Ja wiem, tybyś chciał z tego wszystkiego zrobić tragedję i do tej tragedji chciałbyś mieć mego trupa. Ale go nie będziesz miał. Chcesz mnie wypędzić? Hola! A dlaczegóż to ja mam odejść, ja — a nie ty? Dlatego, że ja jestem kobietą? O, nie! skończyły się już te czasy, kiedy kobietę można było zamurować w klasztorze! Mamy jeszcze na szczęście policję i sprawiedliwość, znajdzie się chyba ktoś, kto sie ujmie za kobietą. A ja nie będę milczała, o nie!

— Jestem przekonany!

— I słusznie! Będę krzyczała na cały świat o sprawiedliwość i świat cały weźmie mnie w obronę. Aaa! Drżysz? Boisz się skandalu? Więc jest jeszcze rada nawet na takich jak ty? Och! nie bój się! Zbyt łatwe byłoby to zwycięstwo, zbyt łatwe.

— Czy to już koniec?

— Więc się poddajesz? Patrzcie, jaka wspaniałomyślność! I jaka obłudna metoda prowokacji. Czy potrzeba było tylu moich zgryzot i tylu łez? Czy ty przez chwilę chociaż pomyślałeś, ile mnie kosztuje każde słowo, które mi razem z krwią dobywa się z głębi serca? Czy ty wogóle myślisz o tem? O, nie! Bo gdyby cię to choć odrobinę obchodziło, tobyś mi nie dał cierpieć i nie dałbyś mi rwać sobie duszy na szmaty, ale że to moja dusza, „kobieca“ dusza, cóż to tobie szkodzi? A przecież mnie szło o taki drobiazg, o taką śmieszną małą radość... Każdy człowiek, każdy inny człowiek zrozumiałby odrazu, pojąłby w swojej wielkiej miłości, ale ty tylko nigdy nie chcesz zrozumieć, ty tylko nie chcesz pojąć. Ty chcesz widzieć moje łzy! O, tak, nie przecz! Moje łzy i moje słowa, ociekłe krwią, sprawiają ci widocznie przyjemność, bo je ze mnie wyciągasz, jak nerw po nerwie z żywego człowieka, a to boli,... a to boli... Zamiast mnie zapytać po prostu, szczerze, z miłością: „czego chcesz, moja droga?“ — Ty dyskutujesz, doprowadzasz do kłótni, biczujesz mnie, depcesz po mojem sercu. A przecież jabym ci powiedziała odrazu, bo nie mam nic do ukrywania. Teraz to mi już trudno, bo się coś we mnie zawaliło. A ja chciałam cię tylko prosić o małą, mizerną rzecz... Czegoś ty tak zbladł? Czy ci niedobrze?

— O co... mnie... chciałaś prosić?

— Abyś mi kupił choinkę... Choć dzieci nie mamy...

— I... ty... z tem... przyszłaś?

— Tak, tylko z tem, ale czułam z góry, że nie zechcesz! Co się z tobą dzieje?

— Ty... tylko... z tem?

— Tak! tak! Co ty robisz, na Boga! Ależ, mój kochany, mój drogi, mój najdroższy!... Głową tłuczesz o ścianę?! Jezus, Marja! Nie śmiej się tak strasznie! Ratunku! ratunku! On zwarjował!...



ZABAWKI LUDOWE

Kiedy migocą świeczki na choinkach, a kruche anioły z opłatków drżą na kisielach, pragniemy wszyscy dostąpić łaski dziecięctwa, którą zgorzkniały nasz wiek czci tak dalece, że kanonizował ją w osobie ostatniej współczesnej świętej: małej Tereski z Lisieux.

W czasie tym będziemy się uczyć od dzieci ufności, marzenia i wiary. Zechcemy poznać, co jest w środku świata? I dowiemy się, że jest tam cud nie ustający. W każdym ciemnym kątku, w każdej dziurce siedzi — tajemnica. Jest to coś malutkiego, albo śmiesznego, albo ogromnego i strasznego, ale zawsze coś cudownego, jak wszystko, co nowe. Każde dziecko jest nowatorem, nowość wita jak cud. Nowość wyłącza krytykę, spada i czaruje, jak pierwszy śnieg. Jedyną rzeczą nieprawdopodobną jest— nieprawdopodobieństwo. Jeżeli ktoś widział żyrafę, dlaczego nie mam zobaczyć djabła? Dlaczego koń nie ma być różowy w złote paski, jeżeli to tak pięknie? Właściwie jest obojętne, czy koń ma tylko głowę, osadzoną na kiju, jeżeli tak na nim lepiej jest cwałować w krainę cudów. Zresztą i cwałowanie nie jest konieczne, wszak jeżeli się siedzi na koniu, to znaczy, że się jedzie. A to, czy koń jest obciągnięty skórą swego zdechłego prawzoru i czy jest jak żywy, to zaciekawia tylko dorosłych.

Każdy koń jest prawdziwy, jeżeli wyobraża marzenie o koniu. Każda zabawka jest marzeniem i współaktorem nieustającego teatru, jakim jest zabawa. Nawet zwykłe miseczki, łopatki i kuchenka są marzeniem o dorosłości. Wszystko, co robią tytany, wszystkowiedzące i wszechmocne plemię dorosłych, jest cudem. Takim samym cudem jest prać bieliznę, jak być królewiczem, szoferem, czy mamą. Cudów się nie krytykuje, tylko przyjmuje się je na wiarę. To, czego nauczą nas dorośli, jest obrzędem.

Tak samo czuje prosty, pierwotny człowiek. Zabawki ludowe mają w sobie najwięcej dziecinności dzięki pokrewieństwu psychiki dziecka i ludu. Prymityw dla prymitywu!

W twórczości ludowej tak samo jak w twórczości dziecka, obserwujemy niezwykłą syntetyczność, uproszczenie sylwety. Zabawka odtwarza raczej pojęcie o przedmiocie, niż jego wyobrażenie. Stąd beztroskliwe lekceważenie natury. Nikt nie może posądzić chłopa o nieznajomość budowy konia. Nie można również przypisać tylko niezdarności ręki, że koń w ludowej zabawce posiada kaczy ogon, ot tak, żeby łatwiej gwizdnąć było można, albo żeby było poprostu śmieszniej. Najlepszym bodaj dowodem „pojęciowości" tej twórczości jest „jeździec", nie człowiek na koniu, tylko koniec-człowiek, centuar, który już nie ma nóg ludzkich, tylko — końskie.

Lud, tak jak dziecko, posiada szczególne radosne zamiłowane śmieszności. Wszystkie tu na ilustracjach załączone koniki pełne są ognia, zadzierzystości i humoru, nie mówiąc już o żydkach krakowskich, które posiadają syntetyczność sylwety i satyryczne zacięcie doskonałej karykatury. Ale to są tematy przypadkowe, miejscowe i niezbyt pedagogicznie ulubione przez mularzy krakowskich, którzy zabawiają się w czasie zimowym, wolnym od robót, rzeźbieniem owych żydków zabawnych. Głównemi, powszechnemi i nie dającemi się zdetronizować zabawkami, są lalka i koń. Każda ankieta wśród dzieci odda im przynależne, królewskie miejsce. Odwieczni aktorzy marzenia o życiu! Zabawki najstarsze, pełne nieświadomej mądrości instynktu: Lalka—strojny symbol piękności i macierzyństwa. Słowem, symbol— kobiecości. Koń — właściwie skrót pojęcia o jeźdźcu, wojowniku, rycerzu — symbol męskiej, zdobywczej walki. Lalka i koń! Ileż mają form, wcieleń, wyobrażeń!

Zobaczmyż w jakie kształty i w jaką treść ubrało je zabawkarstwo ludowe, które dzięki żywemu konserwatyzmowi ludu, zachowało formy najstarsze, przekazywane niemal dziedzicznie z dziada pradziada, tak jak zarysy liścia i barwę kwiatu przekazują rośliny z pokolenia w pokolenie. Taka zabawka jest jakby muszlą umarłą, w której szumi całe morze treści. To, co było niegdyś bóstwem,



ŻYDEK (KRAKOWSKIE)

staje się zabawką, co było obrzędem, trwa niezniszczalnie w zabawie, zachowując prastare formy etnicznej twórczości.

Charakterystyczne, że zabawkarstwo ludowe z nielicznemi wyjątkami jest zabawkarstwem odpustowem. Przypisywać to należy nietylko temu, że kiermasze odpustowe są głównem miejscem zbytu zabawek, niewątpliwie odgrywa tu pewną rolę tradycyjny związek ze świętami i zapomnianym obrzędem, tak n. p. z obchodem wielkanocnych „Rękawek" w Krakowie (wiosenne zrównanie dnia z nocą) połączony jest wyrób tradycyjnych dzwonków gliinanych, malowanych w matowe białe paski i drewnianych grzechotek i siekierek, ozdabianych wypalaniem. Uroczystość ta nosi również miano święta „Kogutka", kura, radosnym krzykiem witającego powrót słońca.

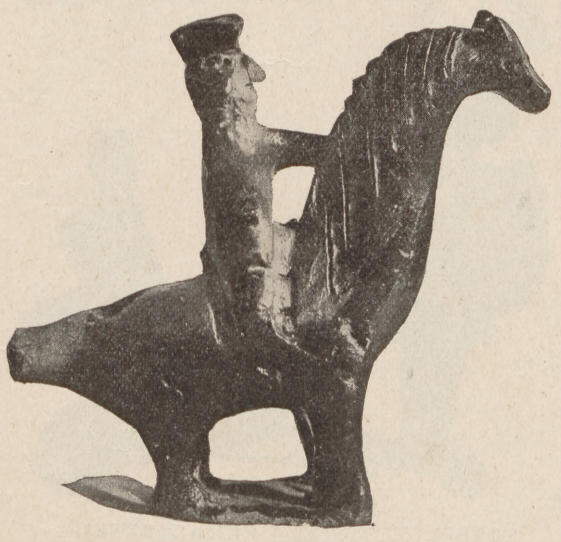
Gliniane gwizdki i figielki odpustowe przeważnie wyobrażają koniki, lub kurki (gwizdków w niektórych okolicach nie nazywają inaczej, jak „kurki"). Istotnie pieski, baranki i inne zwierzęta wyobrażane bywają tylko w drodze wyjątku.

Biały koń jest równie jak kogut symbolem słonecznym.

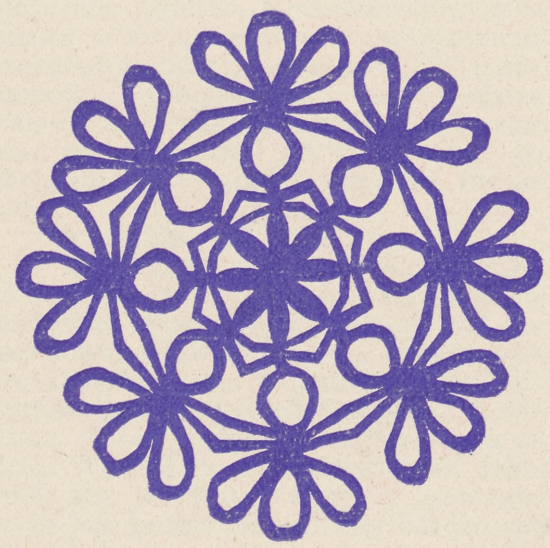
Krakowskie święto Lalkonika przypada na dzień najdłuższego panowania słońca, dzień Kupały. Lalkonik wyobrażony jest jako jeździec, nierozłączony z rumakiem, jak centaur. Przybywa na



TWARDOWSKI I KURKI (PŁOCKIE). ZE ZB. P. LORECA



RYCERZ (KIELECKIE)





ŻYDZI (KRAKOWSKIE)

białym koniu, jak święty Jerzy, jak Krak, jak Swantewit jak wszyscy ci słoneczni rycerze światłości, którzy zwyciężają smoka nocy i ciemności. Bisurmański strój Lalkonika jest, jak wiadomo, późniejszą naleciałością historyczną. Godłem triumfu walecznego słońca jest biały koń i kogut, wesele wieszczący. Dlatego koń (lub rycerz na koniu) i kogut są najbardziej rozpowszechnionemi gwizdkami, sprzedawanemi na odpustach. Często nawet zlewają się w jedną fantastyczną figurę, ni to konia ni to kura przypominającą. Można również spotkać i jeźdźca na kogucie — który może uchodzić za Twardowskiego. To pewna tylko, że niefrasobliwy humor wiejski koniowi nadał ogon kurzy, w który się gwiżdże i konik wita radosnem pianiem słońce.

Gwizdki odpustowe zazwyczaj są gliniane, polewane ołowiowem szkliwem, przejrzystem, lub barwionem zielono, żółto, lub czarno, tak jak garnki. „Kurki“ wyrabiane są przez garncarzy wiejskich i mają prawie identyczne formy niezależnie od tego, czy wyrabiają je w Kalwarji Zebrzydowskiej pod Krakowem, czy pod Wilnem, w Płocku, na Podolu, czy w Kieleckiem. Różnice są nieznaczne.

W Starej Soli w Małopolsce nie są polewane, lecz ozdobione tylko białemi paskami. Tam można spotkać również dumne baby gliinane, podparte w boki okrągłemi jak obwarzanki rękami, harde, jakgdyby samego djabła „wyonacyły“. Takąż lalę widziałam ulepioną z piernika na kiermaszach w Wileńszczyźnie, gdzie obok koników, sprzedawane są figurki rycerzy w rzymskich patetycznych hełmach, przypominających trochę strażaków, a trochę dzisiejszych policjantów. Na kiermasz św. Kaziuka, najukochańszego patrona i królewicza Litwy, przygotowywane są również zabawki mniej prymitywne. Są to gliniane figurki bajecznie tęczowe, barwione polewami, lub nawet pacykowane lakierami i złocone, a wyobrażające św. Kaziuka w purpurze, koronie i gronostajach, damy w papuzich strojach jakiejś śmiesznej staroświeckiej mody i równie kolorowe kurki, koguty i t. p.

Na ten cudowny kiermasz przychodzi z lasu i inny „Kaziuk“, widocznie już przez pomyłkę tak nazwany, bo jest to dziworodek, dziadek leśny w pancerzu z szyszek, z brodą z gałęzi zerwaną, cały ze mchu. Przychodzi uśmiechnięty w słomkowym kapeluszu pokłonić się słońcu zwyczajem pogańskim.

Wiosenne słońce godzi i katolickiego Kaziuka-królewicza i pogańskiego Kaziuka ze mchu, dwie ulubione zabawki wileńskie. Wesołe gwizdem witają je gliniane koniki i kurki. Pierniki odpustowe należy również zaliczyć do zabawek ludowych. Oprócz różowych serc pomalowanych w złote wzory, spotkamy tu znowuż kurki różowe, bronzowe i złote, lalki i rycerzy. Na odpustach św. Salomei w Grodzisku pod Ojcowem pierniki, wyobrażające ni to koniki, ni to baranki, wymalowane są w jarzące i bajecznie kolorowe desenie.

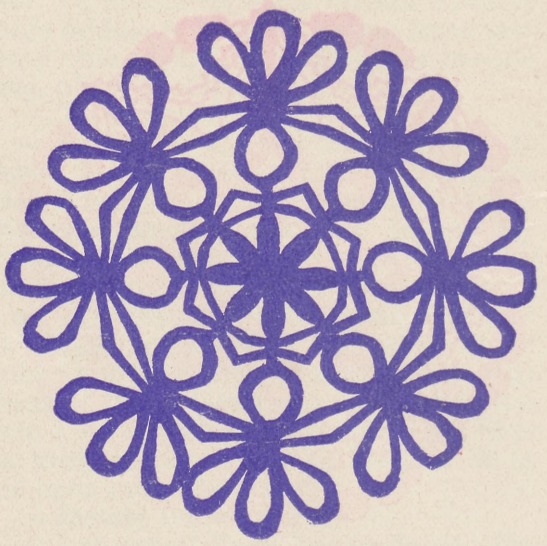


GWIZDKI (Ze zb. p. Loreca)

Koniki są białe, tak jak i chrześcijańskie, zastępujące je baranki, również na wiosenne święto Wielkanocy sprzedawane, baranki z kredy, cukru, czekolady. Jest to cały przemysł sezonowy.

W Leżajsku na odpustach Matki Boskiej, czczonej tu w cudownym obrazie, sprzedawane są słynne na całą Małopolskę piszczałki, których wyrobem trudniło się dawniej sto, a dzisiaj dwadzieścia osób.

Oprócz wspomnianych już siekierek, grzechotek i piszczałek, zabawki drewniane wyrabiane są w Małopolsce w Jaworowie i Koszarawie. Są to w Polsce jedyne dwa większe ośrodki zabawkarstwa, mającego już raczej przemysłowy charakter. Zabawki toczone, przedstawiające kogutki, panny i ptaszki, które posłużyły za wzór warsztatom krakow-



skim, wyrabiane były niegdyś pod Krakowem, dziś spotykają się już tylko w muzeach. Zabawki jaworowskie wyrabiane są dzisiaj pod kierownictwem szkoły zabawkarskiej, zachowały w pewnej mierze typ dawnych: wózków, zaprzężonych w koniki, skrzypeczek i tp. Wszystko z białego drzewa, pomalowanego w buraczkowe i ciemno-zielone listki (koniki także w listki). W Koszarawej, ośrodku ludowego przemysłu drzewnego, wyrabiane są minjaturowe sprzęty i statki drewniane, które roznoszone są przez zabawkarzy po całej Małopolsce i dalej. W Kosowie można nabyć śliczne malutkie konwie, stągwie i inne huculskie wyroby bednarskie, ozdabiane wypalaniem, na wzór tych, jakich używają starsi. Takież minjaturowe miseczki, pięknie malowane i dzbanuszki niepolewane z czarnej gliny przypominają jakieś cudne formy z wykopalisk. W Wileńszczyźnie a i w wielu innych miejscowościach spotykają się również śliczne dzbanki i dwojaczki, polewane na czarno i zielono.

Oto są główne typy ludowych zabawek w Polsce. Z każdego materjału, z gliny, kawałka drzewa, z ciasta, mchu, nawet skorup od jaj i papieru tworzy lud swoiste cacka o tradycyjnym kształcie, dookoła którego unoszą się pradawne mity, a które formą swą tak bliskie są psychice dziecięcej.

Zabawki ludowe zanikają. W żadnem z naszych muzeów nie mamy kompletnego zbioru chociażby tutaj wymienionych typów. A należałoby je zebrać ze względów etnograficznych.

Jankowska-Orynżyna



DJABEŁ Z TACZKĄ (KRAKOWSKIE)
(Ze zb. p. Loreca)

Redaktor: Zdzisław Dębicki TŁOCZNIA WŁ. ŁAZARSKIEGO. WARSZAWA. *Wydawcy: Gebethner i Wolff*



JAN FRYZIŃSKI

CZEKOLADKI
CZEKOLADA
KARMELKI

WIERZBOWA 8 — WARSZAWA — KRAK.-PRZEDMIEŚCIE 5
MARSZAŁKOWSKA 75 i 133

Z WYDAWNICTW GWIAZDKOWYCH
GEBETHNERA I WOLFFA



DLA MŁODZIEŻY

BUKOWIECKA Z, Historja o Janku Górniku z 9 ryc. W. 4. Kart. 6.—
BURNETT F. H. Mały lord z 16 ryc. Wyd. 3. Kart . . 6.—
BRYKCZYŃSKI S. Moje wspomnienia. Rok 1863 z 6 ryc. 5.—
GERSON-DĄBROWSKA M. Polscy artyści. Ich życie i dzieła. Ze 153 ryc. Kart. . . . . 14.—
— Wielcy artyści, ich życie i dzieła. Z 80 ryc. Kart. . . 11.—
MAYNE-REID Kpt. Dolina bez wyjścia. Z 11 ryc. Wyd. 5. Kart. 5.60
— Pobyt w pustyni. Z 7 ryc. Wyd. V. Kart. 6.60
UMIŃSKI W. Ł. Zwycięzcy oceanu. z 7 ryc. Wyd. 4 Kart. 7.50
— Od Warszawy do Ojcowa. z 11 ryc. Wyd. 4. Kart. . 6.—

DLA DZIECI

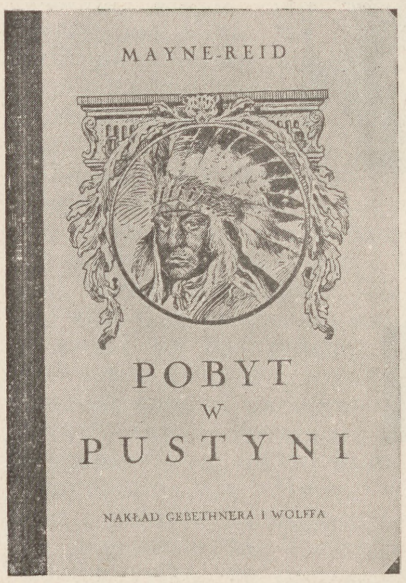
WAŃKOWICZ M. O Małgosi, świneczce, króliczku, muszce i o niegrzecznym piesku Ilustracje jedno - i wielobarwne E. Bartłomiejczyka. . . . . 5.—
WISZNIEWSKI L. Rycerz Tępej Ostrogi. Opowiadania dla dzieci z 24 ryc. Kart. . . . . 4.—



NOWOŚĆ
TEKST
M. WAŃKOWICZA

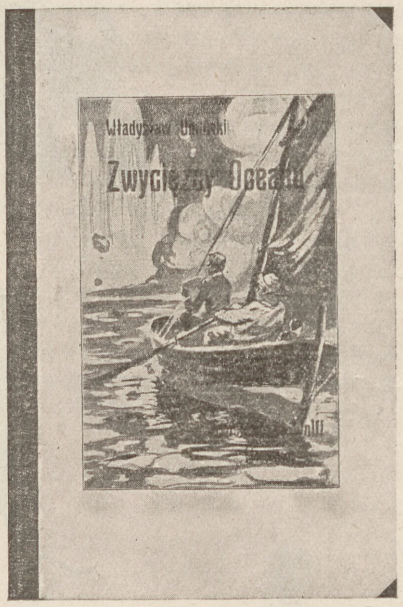


ILUSTRACJE
JEDNO I WIELOBARWNE
E. BARTŁOMIEJCZYKA



KSIĘGARNIE
GEBETHNERA I WOLFFA

WARSZAWA—KRAKÓW—LUBLIN—ŁÓDŹ
PARYŻ—POZNAŃ—WILNO—ZAKOPANE
POLECAJĄ
KSIĄŻKI DLA DZIECI I MŁODZIEŻY
WYDAWNICTWA ILUSTROWANE OZDOBNE
POWIEŚCI—PODRÓŻE
KSIĄŻKI DO NABOŻEŃSTWA





NOWOŚĆ

NOWOŚĆ

KSIĘGARNIE ZAKŁADU NAROD. im. OSSOLIŃSKICH

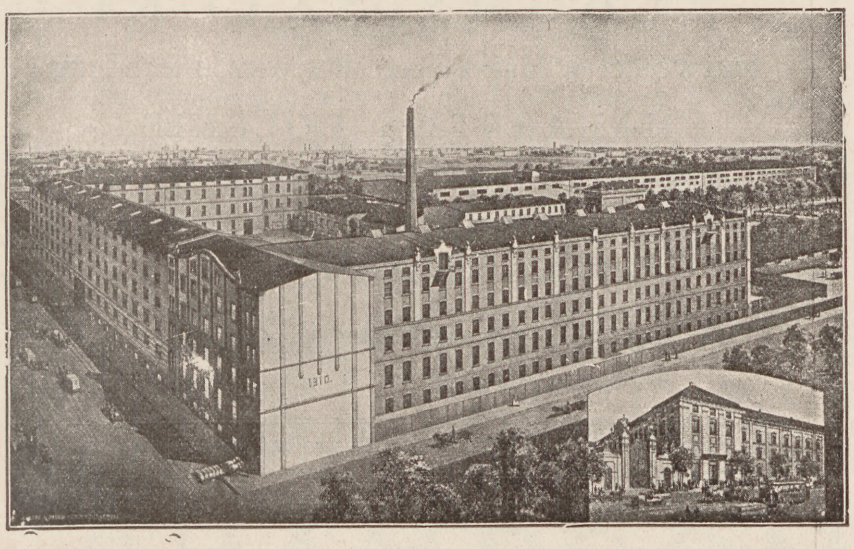
Warszawa, Nowy-Swiat 69
TEL. 198-81

Lwów, Plac Halicki 12 A
TEL. 32-69

POLECAJĄ NA *GWIAZDKĘ*

	zł.
Badecki K. Literatura mieszczańska XVII w.	60.—
Bełza W. Katechizm polskiego dziecka	1.—
Bury (de) R. O miłości do ksiąg, to jest Philobiblon w opr.	5.—
Chłędowski K. Siena z ilustr. w opr.	12.—
„ w ozdobnej płóc. 13.—, w oprawie wytwornej	75.—
Czernowa A. L. Antologja nowej liryki francuskiej.	6.—
German J. Błękitny Jenerał w opr. karton	1.—
„ Bursztynowy dwór	1.—
Hartleb Z. Szabla Polska 12 tabl.	5.—
Homer. Odysseja. Przełożył G. Wittlin	7.50
w oprawie płóc.	12.50
Jakubski A. Dr. W krainach słońca	6.—
w oprawie płóc.	10.—
Kleiner J. Pr. Juljusz Słowacki, Dzieje twórczości 2 tomy	12.—
w oprawie płóciennej	20.—
„ Sztychy	4.—
w oprawie płóciennej	7.20
Korzon T. Dzieje wojen i wojskowości w Polsce 3 tomy.	36.—
w ozdobnej oprawie płóciennej	51.—
Krasicki I. Myszeidos	2,40
w oprawie kartonowej	4.80
Kubala L. Jerzy Ossoliński	3.20
w oprawie płóciennej	8.20
„ Szkice historyczne S. I II	3.20
w oprawie płóciennej	8.20
Kucharski W. Myśli z pism Sienkiewicza	5.40
w oprawie płóciennej	8.60
Makuszyński K. Bardzo dziwne bajki z ilustr. w opr. karton.	4.40
Markowska M. Baśnie i podania ludu polsk. z ilustr. w opr. kart.	7.20
Mickiewicz A. Dzieła wszystkie w 12 tomach w oprawie płóc.	120.—
Ostrołęg E. O Św. Mikołaju z ilustr. Gramatyka Ostrowskiej.	4.80
Piniński L. Shakespeare. Wrażenia i szkice z twórcz. poety T. I	10.—
w oprawie płóciennej	14.—
Tom II.	12.—
w oprawie płóciennej	16.—
Rabska Z. Magja książki. Okładka barwna rys. E. Okunia.	14.—
Rogoszówna Z. Sroczka kaszkę warzyła z ilustr. Z Stryjejski	
w oprawie kartonowej	5.—
Sienkiewicz H. Krzyżacy	5.60
w oprawie płóciennej	10.60
„ Na jasnym brzegu w oprawie płóc.	5.40
„ Pisma zapomniane i niewydane	5.60
w oprawie płóciennej	9.—
„ Trylogja (Ogniem i mieczem, Potop i Pan Wołodyjowski)	25.—
w oprawie kartonowej	31.60
w oprawie płóciennej	43.—
„ W pustyni i w puszczy	4.28
w oprawie płóciennej	7.80
Słowacki J. Dzieła wszystkie w 10 tomach. Cena wydanych dotąd tomów I, III, IV, X.	64.—
w oprawie płóciennej	84.—
Sylwetki portretowe z czasów Stanisława Augusta. Album 59 sylwetek ze słowem S. Wasylewskiego w opracow. M. Tretera.	30.—
w ozdobnej półpergaminowej oprawie	48.—
Walewska Colonna J. O małym słoniątku z ilustr. Gramatyka Ostrowskiej	1.20
Wańkowicz M. Jak Kulusia żaby poznała z ilustr. E. Bartłomiejczyka w ozd. oprawie kartonowej.	4.—

Katalog własnych wydawnictw na żądanie bezpłatnie.



Towarzystwo Akcyjne

„J. FRANASZEK"

Istnieje od roku 1829

Warszawa. ul. Krakowskie Przedmieście № 15

Telefon 1-72

OBICIA PAPIEROWE (Tapety)

Od najskromniejszych do najwytworniejszych

PŁACI OD WKŁADÓW OSZCZĘDNOŚCIOWYCH 12%

Oszczędzanie dopiero wtedy przynosi rezultaty, skoro stanie się nałogiem. Odkładajcie mało, ale odkładajcie co tydzień, czy co miesiąc, a zacznijcie od najbliższej pensji.

Za całość i bezpieczeństwo wkładów ręczy gmina st. m. Warszawy całym swoim majątkiem 1400 miljonów.

WIERZBOWA № 9.
TEL. 505-05 i 73-99.
Godz. biur. 9—3 i 6—7 w.



Magazyn Jarosławski

W. WEDERNIKOW

WARSZAWA

Nowy Świat № 26 Telefon № 18-54

WYROBY

LNIANE

I BAWEŁNIANE

BIELIZNA POŚCIELOWA

Laboratoire
des Parfums et Cosmetiques
„PERFECTION"
Varsovie, Szpitalna 10
Telef. 124-94

Z DZIEDZINY KOSMETYKI.

Bardzo dużą rolę w kosmetyce odgrywa puder. Wybór pudru jest tem trudniejszy, że bardzo wiele pudrów zawiera metale, które działają ujemnie na cerę. Pozatem prawie wszyskie pudry zagraniczne są tłuste, i choć przyjemne w użyciu, zatykają pory w skórze, przez co utrudniają transpiracje sprzyjając tworzeniu się tak zwanej tłustej cery, wągrów, pryszczy i t. p. Pudry które zawierają metale (bismut, ołów i t p.) po kilku latach użycia nadają cerze szaro-żółte zabarwienie. Dlatego przy wyborze pudru trzeba być bardzo ostrożną. Ponieważ zagraniczne fabryki nie podają składu swoich pudrów, przeto polecam puder, który wypróbowałam od lat 30, i którego zbawienne działanie na cerę mogłam stwierdzić niejednokrotnie. Jest to puder *„Ala id"*, który nie zawiera żadnych metali; a składa się z części roślinnych, zawiera między innemi sproszkowane części lilji białej (Lilja Candida), które już w zamierzchłej przeszłości były używane przez ówczesne elegantki, które dbały o zachowanie świeżej idealnej cery.

Skład główny: Warszawa, Perfumerja, Szpitalna 10. *M-me Ercedes.*

ZE ZMARSZCZKAMI

piegami, podbródkami i złą cerą pań nie będzie! Panie chcące pozbyć się zmarszczek, piegów, podbródków mieć naprawdę ładną cerę, łabędzią szyję i klasyczny owal twarzy, pofatygują się od 11-ej do 5-ej. Pracujące panie w niedzielę od 2-ej do 7-ej. *Paderewska Zofja Ludwika, Hoża 41 — 7.*

REKTYFIKACJA I DYSTYLARNIA PAROWA

„F. JANKOWSKI"

właściciele Bracia Jankowscy

w WARSZAWIE Moniuszki Nr. 12

POLECA:

WYBOROWE LIKIERY, RUMY, KONIAKI, STARKI I NALEWKI ORAZ WÓDKI CZYSTE

Wymarzonym podarkiem gwiazdkowym

dla każdego jest

Eau de Cologne
Triple Extrait

Angelus

Wszyscy rodzice i nauczyciele, wszyscy opiekunowie i wychowawcy młodzieży polskiej

muszą stanowczo prenumerować

DWUTYGODNIK SPOŁECZNO-WYCHOWAWCZY

„GŁOS RODZINY I SZKOŁY"

„Głos rodziny i szkoły" uwzględnia wszystkie zagadnienia, związane z wychowaniem w domu i szkole.

„Głos rodziny i szkoły" — informuje o postępach na polu wychowania rodzinnego i szkolnego.

„Głos rodziny i szkoły" dąży do zespolenia szkoły z domem, do wytworzenia harmonji między wszystkimi czynnikami wychowawczemi

„Głos rodziny i szkoły" wychodzi 5 i 20 każdego miesiąca prócz lipca i sierpnia.

Prenumerata wynosi: rocznie 16 zł., półrocznie 8 zł., kwartalnie 4 zł. Zagranicą 3 i pół dol. St. Zjedn.

Cena numeru pojedyńczego 1 zł. Konto P. K. O. 63543,

ADRES: PŁOCK, UL. SIENKIEWICZA 6.

ALBUMY SZTUKI

WYTWORNE WYDANIE DZIEŁ WYBITNYCH MALARZY

MALARSTWO POLSKIE
KOBIETA W SZTUCE
LUKSEMBURG
LUWR

KAŻDY ALBUM ZAWIERA **50** OBRAZÓW BARWNYCH

Cena po **55** zł.

PORADNIK GWIAZDKOWY ilustrowany — bezpłatnie

Wydawnictwo M. ARCTA Warszawa, Poznań

JARMARK POWOZOWO-BRYCZKOWY

LESZNO 38

W WIELKIM WYBORZE ROZMAITE POJAZDY

POLECAJĄ

POŁĄCZONE ZAKŁADY POWOZOWE

B-cia Ostrowscy i S-ka

i Józef Goliński



PIERWSZORZĘDNY

SALON DLA PAN

Specjalność firmy

ARTYSTYCZNE WYROBY Z WŁOSÓW

podług ostatnich wzorów

TRWAŁA ONDULACJA NAJNOWSZYM SPOSOBEM

B. MAZURKIEWICZ

NOWY ŚWIAT 40 (GDZIE KINO „PAN") TEL. 233-60



Miękkie jak jedwab włosy

dziecka, które tak chętnie głaszcze się i całuje, powinny być możliwie najdłużej utrzymane. Myjcie je zatem tylko zupełnie nieszkodliwym środkiem.

Nie zawierając w sobie ani śladu ostrych lub szkodliwych domieszek Shampoon Elida przez swoje specjalnie łagodne mydło oczyszcza włosy i skórę łatwo a gruntownie. Wytwarza obfitą i silną pianę, która usuwa wszelkie zanieczyszczenia.

Shampoon Elida nadaje włosom stały i dyskretny zapach, zachowuje i wzmacnia ich naturalną falistość.

SHAMPOON ELIDA

Fabryki Przetworów Tłuszczowych S. A. w Trzebini.
Wyroby perfumerji »Elida«.

Proszę mi nadesłać bezpłatnie jedną oryginalną paczkę SHAMPOONU ELIDA.

Nazwisko: .....

Adres: .....

Wypełniony powyższy kupon prosimy nalepić na pocztówkę i nam nadesłać.



Szczęściem i zadowoleniem

tchnie mateczka i dziecię roztaczając blask czystości i świeżości, a wesołe zdrowie uśmiecha się do nas olśniewającemi ząbkami.

Najprostszym sposobem zachowania pięknych i zdrowych zębów — jest codzienne używanie pasty do zębów Kalodont.



WŁ. ST. REYMONT

NAGRODA NOBLA

1924 R.

CHŁOPI

PISM REYMONTA TOMY II–V

ARCYDZIEŁO, KTÓRE ZJEDNAŁO AUTOROWI
WSZECHŚWIATOWĄ SŁAWĘ

CENA ZŁ. 25.— W WYDANIU POPULARNEM ZŁ. 9.— KART. ZŁ. 11.—

DALSZE TOMY PISM OBEJMUJĄ NASTĘPUJĄCE UTWORY:

	zł.
T. I. SPRAWIEDLIWIE. Nowele, poprzedzone studjum A. Grzymały-Siedleckiego.	2.50
T. VI–VII. ZIEMIA OBIECANA. Powieść współczesna. 2 tomy	7.50
T. VIII. NA ZAGONIE. Nowele chłopskie	2.85
T. IX. KOMEDJANTKA. Wyd. 4	6.60
T. X–XI. FERMENTY. 2 tomy Wyd. 4.	10.—
T. XII. ROK 1794. I. OSTATNI SEJM RZECZYPOSPOLITEJ. Powieść historyczna. Wyd. 3. . .	6.70
T. XIII. ROK 1794. II. NIL DESPERANDUM. Powieść historyczna. Wyd. 3.	9.—
T. XIV. ROK 1794. III. INSUREKCJA. Powieść historyczna Wyd. 3	8.50
T. XV. WAMPIR. Powieść. Wyd. 3.	5.50
T. XVI. AVE PATRIA. Nowele. Wyd. 4.	6.—
T. XVII. MARZYCIEL. Szkic powieściowy. SENNE DZIEJE—W PRUSKIEJ SZKOLE. Wyd. 2.	5.50
T. XVIII. Z ZIEMI POLSKIEJ I WŁOSKIEJ: Pielgrzymka do Jasnej Góry. Z ziemi chełmskiej. Z wrażeń włoskich	5.50
T. XIX. W GŁĘBIACH. Nowele	5.50
T. XX. NA KRAWĘDZI. Nowele	5.50

NAKŁAD

GEBETHNERA I WOLFFA

DO NABYCIA WE WSZYSTKICH KSIĘGARNIACH

TŁOCZENIA WŁ. ŁAZARSKIEGO. WARSZAWA.